PISMA

AUGUSTA WILKOŃSKIEGO

Tom II.

WYDAWCA:
ADAM KACZURBA W KRAKOWIE.

KRAKÓW.
NAKŁADEM WYDAWNICTWA „BIBLIOTEKI ARCYDZIEŁ".
1888.

W Krakowie. — Czcionkami drukarni J. Fischera. — 1888.

ZEMSTA MLECZNEGO BRATA.

SZKIC.

Alchemii nie wznowię i nie dozupełnię, gdyż po tym szlaku nigdym nie błądził; o sprawiedliwości innych urojeń moralnie ani na chwilę przekonać się nie mogłem; lecz natomiast czystą, bratnią miłość bliźniego pojąłem w całości, objawię ją wszędzie i zawsze, bo przesiąkła duszę, łzami litości i zgrozy oblała serce, a w umyśle stała się najwyższością i przodkuje każdej myśli i chęci i wszystkim moim dążeniom.

Z raptularza badań własnego jasno-widzenia.
Stronnica XIX.

I.

Boreasz na śnieżnym rumaku hasał po polach, lasach, błoniach i wioskach, z gniewem omijał murowane bogaczów mieszkania, a z szatańskim uśmiechem zazierał do nędznych chat ubogich chłopków i każdą szczeliną wygwizdywał radość, że biednym dokuczyć może. Na ubogiém i twardém posłaniu młoda wiejska niewiasta powiła syna, kmiotek z wyszczerbioną żelazem twarzą, w téj chwili szczęściem ojca owianą, ujął w szorstkie dłonie nowonarodzone dziecię i podnosząc je do góry z ufnością wymówił: «Wszechmogący Boże! daj mojemu dziecięciu zdrowie i siłę, aby swój los przykry wytrwać było zdolne» — oddał słodki ciężar babce, złożył nieme

pocałowanie na czoło cierpiącej matki, przysporzył drzewa na komin i przed pałac na nocną stróżę powrócił.

W pałacu, w komnacie wybitej drogiemi kobiercami, na palisandrowém krześle, które puch łabędzi wyścielał, dziedziczka, hrabina Kamilla, otoczona tłumem służebnych kobiet, przy sztucznéj pomocy kilku lekarzy w téjże saméj godzinie wydała na świat słabe paniątko.

Gońcy rozbiegli się natychmiast do najbliższych miast pocztowych z listami, donoszącemi w odległe całego kraju strony, że się dziedzic obszernych włości urodził.

W niedzielę, po kilku dniach białej zamieci, pogodny boskiego sklepienia błękit olśnił się miliardami gwiazd iskrzących, aż słońce z zazdrości pobladło. Mróz był trzaskający — zwierz polny cisnął się do ludzkich mieszkań, leśny w najgłębsze tulił się zarośla, nieżywe ptaki z powietrza spadały, — przesilenie się okropnego żywiołu zimy najwyższego dochodziło stopnia, a przecież lud wiejski zgromadził się ku chwale Bożej. Po krótkiém kazaniu i po przyspieszonéj mszy św. miejscowy pleban u drzwi kościoła jak lód zimną wodą ochrzcił chłopskie niemowlę i dał mu imię Szczepan. W karczmie sprzedano na powitanie małego przybysza garniec taniéj gorzałki, kumowie się uścisnęli.

Tegoż samego dnia dostojny prałat przybył z wielkiego miasta i w ocieplonych salonach pa-

łacu przyjął na łono wiary chrześcijańskiéj drobnego potomka możnéj rodziny; dzięki względności już przed trzema miesiącami sprowadzonéj z Niemiec bony piastunki, święcona woda była wylecona [1]) i zmieszana z wodą pachniącą; prałat za późno spostrzegł zbytnią gorliwość piastunki, zdrój chrztu świętego był tą razą nieco zmącony, — a ktoś z obecnych znający się na zapachach po skończonym obrzędzie wyrzekł po cichu: «otóż mamy maleńkiego Sarmatę, ochrzczonego wodą portugalską, jego niańka jest Niemką, wychowanie będzie francuskie, dalsza przyszłość łatwa do odgadnienia».

W pałacu uczta wspaniała, wielu bogatych zjechało się gości, w nieopalonym przedsionku z odkrytą głową stał kmiotek z wyszczerbioną twarzą, stał od godzin trzech.

— «Panie hrabio! nie mogę pozwolić, aby pani hrabina sama nie miała karmić dziecięcia. Wstrzymanie tak bardzo obfitego pokarmu sprowadzi skutki niebezpieczne».

— Ależ niepodobna, abym moją żonę na mam-

[1]) Przed trzema laty czytałem wiersz Lucyana S* p. t. *Pan i Chłop;* początek tego wiersza użyłem w głównym zarysie za początek do mojéj powieści, albowiem obrazowanie przez znakomitego wieszcza, chociaż je tylko raz jeden szybkiemi przebiegłem oczyma, wpoiło się o tyle w mój umysł, że się tutaj gwałtownie do mojego wcisnęło pióra.

kę zamieniał, abym ją na rok cały obowiązkami służebnéj niewolnicy obarczał.

— «Niechaj więc pani hrabina przynajmniéj kilka miesięcy sama karmić zechce; późniéj, zwolna, odzwyczajemy naturę».

— «Konsyliarzu! wola nasza pójdzie na podział; oto: w dzień będzie moja żona karmiła, a mamka w nocy.

— «Zmięszanie pokarmów zaszkodzi dziecku».

— Mamka jest młoda, czerstwa i zdrowa; łaskawco, nie sprzeciwiaj mi się, bardzo proszę.

Lekarz łaskawca ustąpił, hrabia do swéj kancelaryi od godzin trzech czekającego kmiotka zawołać rozkazał.

— Dla czego z żoną nie przyszedłeś?

— «Jaśnie wielmożny panie, jest jeszcze słaba, mróz wielki na dworze».

— Potrzeba, aby zaraz przyszła; doktór winien się przekonać, czyli zdrowy ma pokarm.

— «Jaśnie wielmożny panie! Boskie w tém zrządzenie, doktór nie odmieni; Bóg dał nam dziecko, czy się uchowa czy nie uchowa, wola Jego przenajświętsza bez ludzkiéj w tém sprawy niechaj się spełni».

— Ale zapewne ci już mój komisarz oznajmił, że twoja żona ma karmić naszego syna.

— «Jaśnie wielmożny panie, a któż mojego wykarmi»?

— Ja wam zapłacę.

— «Życie dziecka»?

— Dam ordynaryą i wynagrodzenie dla innéj kobiety ze wsi, którąby twoje dziecko karmiła, a wy osobno odbierzecie kilkaset złp. i różne podarki, uwolnię cię nadto od pańszczyzny na rok cały.

— «Brać pieniądze i podarunki za zdrowie naszego dziecka, tego ani dusza ani serce nie pozwolą».

— Chłop z duszą i z sercem?... rozśmieszyłeś mnie.

— «Mnie się krew ścina w żyłach, że mnie jaśnie wiemożny pan za zwierzę uważa».

— Na honor nie wiedziałem, że w moich dobrach, pomiędzy moimi poddanymi mam takiego mędrka; gdzież ty u licha do szkół chodziłeś?

— «Na całym świecie, po wszystkich krajach, we Włoszech, w Egipcie, w Hiszpanii, pod Berezyną».

— «Toś ty stary wojak, a pieniędzy przyjąć się wzbraniasz?

— «Nie w pałacu ale w ubogiéj chacie zrodzony jestem; mojéj krwi, ani mojego sumienia za pieniądze nigdy nie sprzedawałem».

— Nudzisz mnie; ja krwi kupować nie chcę tylko pokarm twojéj żony. Zresztą w dzień może sama karmić swoje dziecko, byleby w nocy naszemu dziecięciu ssać dawała, żeby się pani nie budziła. Dostaniecie 500 złp., 20 korcy ordynaryi, jednę krowę z dworskiéj obory i uwolnienie od pańszczyzny. Żadnych dalszych odpowiedzi nie przyjmuję, to jest moja nieodmienna wola (zwra-

cając mowę do obecnego komisarza): Proszę pana, abyś bezzwłocznie wypełnił mój rozkaz: zapłacić z góry za pół roku i dzisiaj ją jeszcze sprowadzić. (Do kmiotka): Jeżeli twoja żona zdrowo wykarmi naszego pierworodnego syna, ja o waszém dziecku i na przyszłość pamiętać będę.

Hrabia się oddalił do przyległego pokoju, kmiotek ze łzą w oku opuścił pałac, a idąc ku wsi zatrzymał się przed figurą męki Chrystusa Pana i gorącą do Boga zasłał modlitwę. W chacie zastał swoję Jadwigę, klęczącą przy kołysce Szczepanka, oczy utkwione w drobne rysy najmilszego dziecięcia nie spostrzegły wchodzącego męża, ucho badające tchnień najdroższego jej skarbu na ziemi, nie posłyszało skrzypnięcia drzwi i ciężkiego chodu Stanisława.

— Jadwigo! dziedzic nie zmienił swojego postanowienia.

— «O Boże»! — zawołała Jadwiga i śmiertelnie pobladła; — zsiniały usta, ręce konwulsyjnie zadrżały, — nagle pochwyciła dziecię, tuląc je do matczynych piersi, wymówiła głosem rozpaczy: «nie! nie! — żywéj nie odłączą mnie od mojego dziecka; niechaj mój trup karmi dziecko dziedzica — pocóż je na świat wydała, kiedy go karmić nie chce».

Stanisław powtórzył we wszystkich szczegółach rozmowę swoją z dziedzicem — i z goryczą dodał: «to jest jego nieodmienna wola».

— «Stanisławie! wracasz mi połowę życia».

— Oni wydzierają połowę życia naszemu dziecku.

— «Uspokój się Stanisławie! dziecko Jędrzejowej już od dni trzech odsadzone; ona może u nas przyjąć komorne, — damy jéj całą nagrodę; jaką dziedzic i dla niéj i dla nas przeznacza. — Stanisławie! mój pokarm jest obfity, dzienny jest pożywniejszy, — zobaczysz, że Szczepanek będzie tłusty i zdrowy, a może i w przyszłości szczęśliwy; wszakżesz dziedzic obiecuje o nim pamiętać».

— Jadwigo! nie znasz obietnic wielkich panów — oni jak chłopca ze wsi wezmą do pomywania talerzy, jak mu dadzą liberyą, rozumieją, że dobrodziejstwo wyświadczyli. Niechaj Bóg nasze dziecko od podobnej pamięci dziedzica ochroni, — dopełnij sumiennie obowiązku, jaki na ciebie włożono, ale nie sądź, żebyś przez to szczęście naszego dziecięcia zyskała.

Nie upłynęło dwunastu godzin, bledziuchne paniątko i ślicznéj urody rześki synek chłopski byli już sobie braćmi mlecznymi.

II.

Dziesięć lat później.

W miesiącu czerwcu, po zachodzie słońca, młody hrabia Ildefons, w towarzystwie aż czterech guwernerów: Francuza, Włocha, Anglika i Niemca, wyszedł na przechadzkę; kamerdyner przeznaczony na osobne a wyłączne usługi hrabiego, rodem Szwajcar, postępował za nimi. Widok rozłożonego

na drodze pod lasem ognia, przez który lud wiejski przy głośnych śpiewach przeskakiwał, wzbudził ciekawość Ildefonsa, a gdy mu znaczenia Śto-Jańskich Sobótek ani M. Chargot, ani włoski l'Abbé, ani sir Goddam wytłumaczyć nie umieli, a Herr von Tintenstrich pytającego ucznia do *Conversations-Lexicon* odsyłał, Ildefonsik zapragnął przypatrzyć się z bliska temu obrzędowi, — lecz zanim do zamierzonego doszli celu, ogień przygasł a grono dziewcząt i parobków już do wsi wracało. Na czele drobniejszych chłopczyków szedł Szczepanek, brat mleczny młodego hrabiego.

— Czy i on śpiewał i tańczył!... — zapytał Ildefons Szczepanka.

— «Wszyscyśmy tańczyli i śpiewali».

— Na jaką pamiątkę?...

— «Na pamiątkę, że nasi rodzice i rodzice naszych rodziców tak samo w wigilią Śgo Jana przez ogień przeskakiwali, a i dzisiaj są Sobótki».

— Czemu tak dawno nie był w pałacu?

— «W dzień chodzę do szkółki, w wieczór przynoszę matce wody, albo ojcu w lżejszéj pomagam pracy».

— Czegóż on się w szkółce uczy?

— «Katechizmu, czytać, pisać i rachować, a od kilku tygodni sam ksiądz proboszcz opowiadał nam życie Chrystusa Pana i przyobiecał, że nam opowie, jacy dawniéj byli w Polsce królowie, kto nam dzisiaj panuje, jakie dawniéj były prawa, jakiemi są dzisiaj».

— Ale ja się uczę historyi francuskiéj; wiem już także kiedy założyli Rzym, nad którymi rzekami leżą Londyn, Berlin, Madryt i Lizbona.

— «A nasz nauczyciel także nam odrysował na tablicy wszystkie rzeki, które nasz kraj przerzynają, i morze, do którego te rzeki wpadają; wczoraj objaśnił nas, z czego powstaje deszcz, śnieg, grad, błyskawice i pioruny».

— To ty się już wiele nauczyłeś.

— «O ja będę więcéj umiał, bo ksiądz proboszcz ma mnie odesłać do swego brata w Warszawie, który jest nauczycielem bardzo wielkiéj szkoły i do któréj chodzą synowie najbogatszych panów».

— On może być szczęśliwym.

— «Ksiądz proboszcz mówił, że jak będę pilnym, mogę wyjść na pana».

— A kiedy on chłop, i papka jemu nie daruje pańszczyzny.

Znudzeni niezrozumiałą mową młodzieńców, panowie nauczyciele w czterech językach wezwali Ildefonsa, aby się dłużéj na zimno chłodnego wieczora nie narażał: z tąż samą uwagą odezwał się i troskliwy kamerdyner.

Jeszcze Ildefons z swoimi profesorami i kamerdynerem do pałacu nie powrócił, gdy Szczepanek znów na czele swoich rówieników, oklep, na dziarskim źrebcu, stado koni obok nich przepędził. Młody hrabia pozazdrościł w duszy téj swobody Szczepankowi; Herr von Tintenstrich patrząc się za galopującemi chłopcami, wyrzekł z podziwem: *Die*

kleinen Polaken, das sind Teufelsjungen; unsere Stallmeister reiten lange nicht so gut, als diese Ulanen-Race.

— «Les barbares»! bąknął Francuz; «Goddam» mruknął Anglik; Włoch szeptał pacierze.

Pomijam szczegóły wychowania i kształcenia Ildefonsa, bo byłoby to powtórzeniem wszystkich tych błędów i niedorzeczności, jakie bogacze popełniają przy prywatnem wychowaniu i kształceniu swych synów: — raczej wspomnę, że Szczepanek, jako najpilniejszy z całej wiejskiej szkółki uczeń, odesłany przez cnotliwego proboszcza do Warszawy, czynił wielkie w naukach postępy. Który z tych dwóch mlecznych braci lepsze odebrał ukształcenie serca, szlachetniejsze rozwinięcie duszy, dowiemy się w dalszym ciągu powieści.

III.

W piętnaście lat po tym wieczorze, porucznik od konnej artyleryi, Szczepan, tańczył mazura z cudownie uroczą siedmnastoletnią córką jenerała, który w dniu imienin swojej jedynej córki licznych zaprosił gości; hrabia Ildefons znajdował się pomiędzy wielbicielami pięknej Stefanii.

— Hrabio! czy słyszałeś o twojem nieszczęściu? mówią powszechnie, że jenerał skłaniając się do wyboru, jaki jego córka uczyniła, porucznika przyjmuje za zięcia.

— «Szczepana? — tego, który z nią co dopiero tańczył»?

— Który jéj miłość pozyskał.

— «To być nie może; moja ciotka księżna S*, mówiła przed tygodniem ze Stefanią; zdawała się być uszczęśliwiona nadzieją mojéj odezwy».

— Myśl pięknéj dziewczyny jest zmienną.

— «Znasz świetność mego imienia i mój bardzo znaczny majątek. Pan porucznik zaś, jest synem jednego z ubogich chłopów, poddanych mojego ojca. — Takiego rywala obawiać się byłoby śmiesznością».

— Daję ci moje słowo, że wczoraj się oświadczył.

— Hrabia Ildefons posiniał ze złości i wstydu; nie odpowiadając więcéj ani słowa swojemu przyjacielowi, zbliżył się do siedzącego obok Stefanii oficera i głośno wyrzekł:

— «Panie poruczniku, uwolnię twojego ojca na cały rok od pańszczyzny, ale mi nie przeszkadzaj w uzyskaniu łaskawych względów panny Stefanii».

Całe liczne towarzystwo słyszało te wyrazy, wszystkich oczy zwróciły się na porucznika. Jenerał chciał pierwszy przerwać głuche milczenie, gdy porucznik z twarzą spokojną, głosem umiarkowanym, następującą dał hrabiemu odpowiedź: «Mojego ojca Bóg od pańszczyzny uwolnił: umarł już przed sześciu laty wskutek ran odniesionych z pola zwycięztw i chwały, pan hrabia zapóźno się zgłaszasz z dobrodziejstwem, a jeżeli ofiara uczynioną była w celu poniżenia mnie, bardzoś się panie omylił;— mojego urodzenia nigdym nie taił, owszem szczycę się mojém urodzeniem, bo krew ludu jest nieska-

laną, jest przeczystą i świętą, chętnie oddana na nigdy niezapieraną własność ziemi naszéj. Co do panny Stefanii, dopiéro nadzieja dozwoloną mi została; jeszcze przeto masz pan prawo położenia swoich przymiotów na szali współubiegania się o jéj rękę, — od ołtarza dopiéro poczynają się węzły nierozerwane».

— Panie poruczniku, odezwał się jenerał, potrzeba, abyś wziął inne zadośćuczynienie; zamiana słów obrazy nie niszczy.

— «Panie jenerale, ubliżyłbym popiołom mojego ojca, poniżyłbym moje urodzenie, gdybym za wyrazy hrabiego żądał zadośćuczynienia».

— «I ja jestem tego samego zdania», odezwał się hrabia Ildefons, — «niezaprzeczona prawda nie jest przedmiotem sporu; — gdzie nie masz obrazy, zadośćuczynienie miejsca mieć nie może».

— Jeżeli pan porucznik swojéj obrazy w tém, co zaszło, znaleść nie chce, ja obrazę mojéj córki znajduję.

— «Panie jenerale!» zawołał hrabia Ildefons, — «za obrazę córki pańskiéj oddałbym krew i życie, a twoję łaskę, jenerale, i względy panny Stefanii poczytałbym za najwyższe szczęście i ta-to myśl powodowała mną, gdym się do pana porucznika odzywał».

— Panie hrabio! — twoją odpowiedzią jestem zaspokojony; lecz złorzeczę chwili, kiedym się dał uwieść pozornym przymiotom młodzieńca pozbawionego uczuć honoru.

— Jenerale! — z głębokim smutkiem wyrzekł porucznik, — jutro nie będę pańskim podwładnym, spodziewam się, że wtenczas nie odmówisz mi prawa udowodnienia ci, że uczuć honoru pozbawiony nie jestem.

Po tych wyrazach porucznik boleśnie spojrzał na milczącą Stefanią i oddalił się z balu; — hrabia Ildefons pozostał.

W trzy dni potém rozeszła się wieść, że były porucznik od artyleryi, Szczepan *, został w pojedynku przez jenerała *, ciężko raniony.

Za kilka miesięcy nastąpił ślub jenerałównéj z hrabią Ildefonsem *.

IV.

Po tych zdarzeniach upłynęło lat dwadzieścia. Ildefons strwoniwszy za granicą swój znaczny bardzo majątek, przed kilku miesiącami powrócił do kraju, zawarł kontrakt sprzedaży ostatnich dóbr swoich; nowonabywca zaliczył 200,000 złp., przepisanie tytułu własności miało nastąpić przy wypłacie resztującego szacunku. Zbliżył się czas oznaczony; kupujący przybył dla dopełnienia warunków, ale po bliższém rozpoznaniu hypoteki przekonał się, że hrabia popełnił podstęp i fałsz. Prawo własności było obciążone zastrzeżeniem dawniejszego z kim innym kontraktu sprzedaży, na który hrabia wówczas, przed trzema laty, umówioną sumę odebrał i z niéj pokwitował. Czyn takowy ulegał procesowi

kryminalnemu: poszkodowany ostatni nabywca nie wachał się na chwilę i postanowił w drodze sądowéj poszukiwać zwrotu zaliczonej sumy 200,000 złp. i żądać nadto oddzielnego ukarania oszusta.

Szczepan *, od lat kilkunastu znany z sumiennéj gorliwości i pilności patron przy trybunale *, przechadzał się w zamyśleniu po swojém mieszkaniu;— zdawało mu się, że dzisiaj widział hrabiego Ildefonsa na ulicy; dzisiaj była dwudziesta rocznica, jak mu publicznie uczyniono mniemany zarzut chłopskiego urodzenia, jak utracił narzeczoną, którą kochał z zapałem pierwszéj miłości, rocznica poprzedzająca o dni trzy rocznicę pojedynku, w którym utracił władzę lewéj ręki. Smutna pamięć żałobą oblała serce, z ust mimowolnie wydarły się wyrazy: «on sprawcą tylu nieszczęść moich»! W tém otworzono drzwi, mężczyzna gniewnego spojrzenia wszedł do pokoju.

— Czy mam przyjemność mówienia z panem patronem *?

— «Ja nim jestem».

— Przychodzę do pana z prośbą, abyś w mém imieniu wytoczył proces do trybunału cywilnego i do sądu kryminalnego przeciw hrabiemu *. Oto jest przezemnie wiernie skreślony stan rzeczy, tu są dowody.

Patron przeczytał podane sobie papiery, pobladł, zadrżał, i ponurym wyrzekł głosem:

— «Ja panu w téj sprawie służyć nie mogę».

— Czyli pan jesteś ze strony mojego przeciwnika?

W tym przypadku żałuję, że mąż, znany zaszczytnie z prawego postępowania podjął się słabéj obrony tak podłego czynu.

— «O téj sprawie dopiero od pana pierwszy raz słyszę».

— Może w inszej sprawie jesteś pan obrońcą hrabiego.

— «Przed dwudziestu laty wydarł mi najdroższą sercu mojemu nadzieję, od tego czasu dzisiaj po raz pierwszy widziałem go zdaleka na ulicy».

— Dlaczegóż pan pominąć chcesz sposobność wymierzenia spóźnionéj kary?

— «Zemsta jest obcą mojéj duszy, ja tylko pragnę szczęścia ludzi».

— Więc podług zasad pańskich występek należy zostawiać bezkarnie?

— «Można niszczyć występek bez zniszczenia człowieka».

— Zmusisz mnie pan do wyboru innego patrona.

— «Chciéj się pan zatrzymać: racz mi zostawić swoje papiery na 24 godzin, może będę w stanie poprowadzić interes pana».

— Sześć tysięcy złp. złożę panu jako nagrodę, jeżeli zwrócony mi zostanie kapitał, który wyliczyłem hrabiemu; sześć tysięcy zapewniam panu za każdy rok jego więzienia.

— «A więc 24,000 pan dla mnie przeznaczasz».

— Chętniebym 60,000 wypłacił.

— «Czekam pana jutro o godzinie ósméj rano».

— Ufam pańskiemu charakterowi i pańskiéj zdolności.

— «Będę się starał godnie odpowiedzieć położonemu we mnie zaufaniu».

Ledwo że się przeciwnik hrabiego oddalił, Szczepan drżącą ręką napisał kilka wyrazów, wzywając hrabiego do siebie. — «Możeby to uważał za chęć poniżenia go z méj strony, możeby nie przyszedł;— którykolwiek z moich kolegów zastąpiłby mnie, gdybym jutro zwrócił papiery»; ta myśl odmieniła jego zamiar, list podarł, wziął kapelusz i wyszedł na miasto.

W pokoju zajezdnego domu hrabina * siedziała przy oknie; na jéj wybladłe lica łzy obficie płynęły, z śmiertelnym niepokojem czekała na powrót męża. Wtém drzwi zaskrzypły, obróciła się skwapliwie, przed nią stanął obcy dla niéj mężczyzna, średniego wieku, — ale już pierwszy szron, poszlak trosk i znojów, popruszył włosy jego; wlepiła weń wzrok badawczy, rysy nie były jéj nieznane, — pamięć przez mgłę odległéj przeszłości trudno się przedzierała; — ileż obrazów dzieliło ją od Szczepana, lecz serce jest przenikliwszém od pamięci, serce Stefanii poznało narzeczonego... «Szczepanie»! z boleścią zawrzasła i padła bezsilna.

W tęż chwilę powrócił mąż Stefanii, usłyszał z ust żony imię «Szczepan», zachwiał się, zadrżał, zbladł, i stłumionym głosem zapytał:

— Czegoż pan żądasz odemnie?

— «Szukam mlecznego brata».

— Pan urągasz mojemu nieszczęściu. Słyszałem

przed chwilą, że jesteś patronem, żeś się przeciw mnie podjął sprawy; zemsta po oczekiwaniu przez lat dwadzieścia musi być słodką, bardzo słodką; — pojmuję uczucie pana, bo i ja dobrze pamiętam, tak pamiętam, — dzisiaj jest dwudziesta rocznica dnia, godziny, w której ci, panie, w obec twéj narzeczonéj, w obec licznego zgromadzenia ofiarowałem uwolnienie twojego ojca od pańszczyzny; rocznica godziny, w któréj jam twoję duszę zranił a serce w kawały poszarpał; — powtarzam ci, panie, że pamiętam tę godzinę i nie dziwię się bynajmniej, że pożądaną sposobność zemsty otwartém przyjmujesz sercem; lecz cóż cię mogło spowodować do szukania nas aż w naszém mieszkaniu?

— «Szukam mlecznego brata».

— Panie! nie rozumiem twoich wyrazów... nie znam rozmiarów twojéj zemsty.

— «O! czyliż mniemasz, że urodzony chłopem do zrzeczenia się zemsty zdolny nie jestem? — że nie będąc szlachcicem, szlachetnych uczuć mieścić w mém sercu nie mogę?... Ale prawda! tyś się hrabią wychował, w szlachetność uczuć chłopskich nie wierzysz».

— Szczepanie! — odezwała się Stefania, — kiedy przez mojego ojca śmiertelnie raniony, wystrzałem w powietrze życie mu darowałeś, już od tego czasu znamy cię prawdziwie szlachetnym.

— «Nie traćmy na teraz drogiego czasu wspomnieniami smutnéj przeszłości; — panie hrabio, przyszedłem podać ci rękę pomocy. — Poślij za

mną służącego, mam 90,000 złp., które przez lat kilkanaście pracą i oszczędnością zebrałem, tę sumę zaliczysz do układu, jaki zrobię pomiędzy wami; widziałem w wykazie hypotecznym, że nie wszystkie ostrzeżenia są sprawiedliwe, może te dobra potrafię dla was ocalić; jutro po zawartéj zgodzie z głównym przeciwnikiem wystawisz na mnie plenipotencyą do twoich wszystkich interesów, pomoc brat mleczny przyjąć ma prawo».

Zasłona uprzedzeń i przesądów nagle spadła z oczu hrabiego; — łzy wdzięczności były najpierwszą odpowiedzią a wzajemne braci mlecznych uściski uwieńczyła Stefania do tronu Przedwiecznego zasłaną modlitwą — o szczęście cnotliwego Szczepana.

Nazajutrz groźny hrabiego przeciwnik, za najusilniejszém pośrednictwem patrona*, podał dłoń zgody; dla sądownictwa ta cała sprawa obcą została.

Taką była zemsta mlecznego brata — chłopka naszego.

„Za pozwoleniem, ja państwu opowiem bardzo ciekawą historyą".

Nader małą jest liczba rodzin, któreby się z samych bogatych osób składały; jednakże w rozmowach wyższego towarzystwa słyszymy tylko: «mój

wuj, ksiądz biskup; — moja ciotka, pani jenerałowa; — mój brat, pan prezes»; — a o wuju, organiście, o cioci igłą na chleb powszedni zarabiającej, o braciszku, który donośnym głosem strony przed kratki przywołuje, nikt nigdy ani *mrumru*, — i chociażby to byli najpoczciwsi ludzie, każdy się strzeże popisywać się nimi. Czem się to dzieje? — jakie są tej dyplomacyi przyczyny? — wiem, ale nie powiem. Natomiast opiszę moim łaskawym czytelnikom wypadek, który ze źródła takiegoż państwo-chwalstwa wypłynął.

— Pan Grzegórz — istotnego nazwiska przez grzeczność nie wymienię, ale że nie lubię bohaterów bez nazwiska wprowadzać, niechajże tutaj nazywa się np... Durniewski! — Otóż tedy ten pan Grzegórz Durniewski, zabłądził do jednego z moich znajomych na ucztę, wyprawioną dla swojego nader szanownego przyjaciela, niegdyś kapelana przy arcybiskupie Krasickim. Śród obiadu, po kilku kieliszkach ożywiającego płynu, przezacny prałat na powszechne prośby opowiadał pobyt w Potsdamie i szczegóły życia księcia poetów.

Wyrazy starca stłumione jego sędziwym wiekiem, bogate w autentyczność łaskawie udzielanych nam wiadomości, niezwykłą słodyczą skraszone, chwytaliśmy wszyscy z najwyższą ciekawością i z tak głębokiem milczeniem, że przez otwarte na ogród okno, brzęk wracającej do ula pszczoły wdzięcznie się pomieszał z głosem mówiącego. — «Raczcie mi panowie zawierzyć, że w całem życiu

tego znakomitego męża nigdy w nim silniejszego nie spostrzegłem zapału, jak gdy ziomków swoich bronił przed królem pruskim przeciw zarzutowi mniemanéj...

— «Za pozwoleniem księdza prałata» — przerwał Durniewski. — «Ja państwu opowiem bardzo ciekawą historyą».

Oczy wszystkich obecnych zwróciły się z najwyższém oburzeniem na Durniewskiego, gdy tenże bezczelny bałwan, przesunąwszy palec pod nosem, następującą brednię szeplenić począł:

— «Potrzeba panom wiedzieć, że moja ciotka, pani jenerałowa, mojéj mamy rodzona siostra, bardzo się lękała Bawarczyków, żeby mamy nie zrabowali, wtenczas kiedy oni szli za Napoleonem na wojnę w tysiąc ośmset dwunastym czy piętnastym roku — dobrze nie pamiętam, bo jeszcze wtenczas byłem bardzo mały; ale to pamiętam, że moja mama miała ekonoma Dziobczyńskiego, który był bardzo *sprytny* człowiek, a on wiedział, że mama się bała Bawarczyków, bo on i Michałek to pomyślenie mojéj mamy wiedzieli; więc on przyszedł do mamy i mówił mamie, żeby mama odjechała do księdza biskupa, który był mojéj mamy krewnym i żeby mama wszystko pochowała, a zwłaszcza, że mama miała wielkie *słebra* stołowe na sześć osób i *słebrną* miednicę i gotowe pieniądze. Jak więc Dziobczyński tak mojéj poradził mamie, moja mama usłuchawszy go, spytała go się, jak on radzi schować *słebra* i te pieniądze, bo brać ze sobą też się

bała, bo już wszystkie trakty były pełne żołnierzy; więc Dziobczyński poradził mamie, żeby mama w budynku żadnym nie chowała, bo w Polądzinie u księdza proboszcza, który był bratem pana podprefekta, ze spichlerza Francuzi wiele zachowanych rzeczy zrabowali, a w ziemi także nie radził, bo Francuzi byli tacy mądrzy, że jak zobaczyli na polu albo w ogrodzie świeżo zrytą ziemię, zaraz tam kopali i *puty* kopali, aż czego nie znaleźli; więc radził mamie, żeby mama kazała wszystko zapakować w beczkę, oblepić smołą i wpuścić do sadzawki w najgłębsze miejsce; Dziobczyński był bardzo sprytny. Mama usłuchała go i na wieczór odesłali starego Wacha, który zawsze sypiał przededworem, będąc nocnym stróżem i mama i Dziobczyński, ekonom, i bardzo wierny lokaj Jan zapakowali wszystkie *słebra* i pieniądze w beczkę, oblepili smołą i zakulnęli do sadzawki, a mnie mama upomniała, żebym nikomu nie powiedział.

Uważcie państwo, mama ze mną odjechała, Francuzi, Bawarczyki, *Szwedzi* i te wszystkie *nacye*, które szły za Napoleonem, przyszły do Pękocinka; wszyscy szukali, zaglądali po wszystkich kątach, ale czy panowie dacie mi wiarę, że jak ja z mamą po wojnie powróciłem, idziemy do sadzawki w ogrodzie, zakładamy haki — jest beczka! ciągniemy, wyciągamy, jest beczka! otwieramy beczkę, są wszystkie *słebra* na sześć osób i *słebrna* miednica».

Durniewski skończył, patrzy się na nas; my

osłupieli patrzymy się na niego, uszom naszym nie dowierzamy; każdy milczy i ze wstydu nie wie, jak usta otworzyć; aliści Durniewski w serdecznem zadowoleniu dodaje: «Wszak prawda, panowie, że to bardzo ciekawa historya»!

— Do kredensu, — dla lokajów! — odezwał się obok mnie siedzący rotmistrz od ułanów.

— «Pan mnie *obrazas*".

Śmiech powszechny zastąpił odpowiedź rotmistrza; Durniewski się zaczerwienił, robił gałki z chleba i szukał oczyma, czyli się kto za nim nie ujmie; ale widząc, że wszyscy się najserdeczniej śmiejemy, krzyknął jakby z płaczem: «Panowie nie wiedzą, z kogo się śmieją: mnie Ulatyńska rodzi, a moja ciocia była jenerałowa, a jeden mój wujaszek był prezesem».

— Panie Grzegorzu — pośród najgwałtowniejszego śmiechu rotmistrz zawołał powtórnie, — kiedyś łaskaw zaznajamiać nas ze swoją *famuliją*, nie zapomnij i o stryju, organiście w Szydłowcu.

Odsłonienie téj tajemnicy ubodło Durniewskiego o tyle, że nie czekając sarniéj pieczeni, nie zważając na prośby gospodarza, od stołu się zerwał i do domu odjechał.

Podziękowawszy rotmistrzowi, że Durniewskiego wypłoszył, następnie już bez żadnéj przeszkody słuchaliśmy dalszych opowiadań przezacnego prałata: ale że ów przedmiot do tego ustępu nie należy, przechodzę więc do dnia jutrzejszego.

Przy sadzawkach nad drogą doglądałem mycia

owiec: była godzina 10 przed południem; w tem z poza góry wznosi się tuman kurzawy, huk z bicza dochodzi moich uszu, pokazuje się pierwsza, za nią druga para łysych kasztanków w krakowskie strojnych chomonta, woźnica w lakierowanym kapeluszu, w sieraczkowym surducie, z czerwonymi wypustkami, maleńka bryczka — a na bryczce w jasno szafirowej z czarnym szamerunkiem algierce — Grzegórz Durniewski. Po dosyć obojętnem przywitaniu bez ogródki o powód odwiedzin zapytuję. Durniewski odprowadza mnie na stronę i prosi, abym w jego imieniu wyzwał rotmistrza *** na pistolety.

— «Za co?!...» zapytałem jakoby zdziwiony.

— On powiedział, że mój stryj jest organistą.

— «Panie Durniewski! był to żart niewinny, a przynajmniej niezasługujący, ażeby wywoływał pojedynek na pistolety».

— Tak, Panie dobrodzieju! gdyby to był żart, mniejszaby było o to; ale ja panu dobrodziejowi pod słowem honoru, ażeby pan dobrodziej nie rozgłaszał, powiem szczerze, że istotnie mój stryj jest organistą.

Mocny rumieniec pokrył twarz Durniewskiego.

— «Czy być może?!... stryj pański organistą? i on grywa na organach»?!...

— Tylko pana dobrodzieja zaklinam na słowo honoru, niechaj pan dobrodziej nikomu nie powiada.

— «I on śpiewa na chórze»?

— Śpiewa.

— «To jest okropne zdarzenie»!

— Ach! bardzo!

— «Pana Grzegorza Ulatyńska rodzi, — wujaszek jeden jest biskupem, drugi jest prezesem, ciotka jenerałową — a stryj organista»???

— Ale pan nikomu nie powiadaj pod słowem honoru.

— «Trudno uwierzyć! — nie pojmuję; objaśnij mnie, panie, przez jaki to zbiór okoliczności stryj pański został organistą».

— Z młodości miał ochotę na księdza, ale że się nie mógł po łacinie nauczyć tyle, ile na księdza potrzeba, więc starszy brat ś. p. mojego ojca, który był ekonomem u pani starościny....

— «Co pan mówisz — ekonom»?!

— To jest nie ekonom, ale miał zarząd nad pańszczyzną i trudnił się gospodarstwem.

— «Ach znałem go dobrze: chodził zawsze z charapnikiem we dwoje złożonym».

— Ten sam.... tak.... stryjaszek zawsze chodził z charapnikiem.

— «Wszakżeż były i siostry»?

— Jedna tylko.

— «Tak, tak, jedna tylko; pamiętam poszła za... czém on to był» — ?...

— Rymarzem ale aż w Augustowskiém, i jak on umarł, to mój ojciec ani wiedzieć o niéj nie chciał, ale ona teraz dobrze się ma.

— «Więc prowadzi daléj kunszt rymarski nieboszczyka męża»?...

— O nie, — ona założyła sklepik w Warszawie i ma różne wiktuały na sprzedaż, jako to: mąkę, kaszę rozmaitego gatunku, jaja, masło, sér chléb, także i drzewo we wiązkach.

— «Pan czasem potajemnie bywasz u niéj»?

— Ale pan dobrodziéj pod słowem honoru nie powiadaj nikomu; widzi pan dobrodziéj, ja bywam, bo ona jest bezdzietną i podobno dorobiła się kilkunastu tysięcy.

— «A więc to jakaś uczciwa kobieta»?...

— O! ona bardzo uczciwa.

— «A ten stryj, organista, czy to pijak, łotr, ladaco»?

— Nie! — to także bardzo poczciwy człowiek; nabożny, regularny w swoich obowiązkach i powszechnie mówią, że bardzo pięknie gra na organach i bardzo pięknie śpiewa.

— «Powiedz mi, panie Grzegorzu, nawiasem, wszakżeż to ten wuj pański, który był prezesem, miał kiedyś proces o naruszenie kasy salaryjnéj w Bydgoszczy i podobno dla tego procesu wziął uwolnienie od służby rządowéj».

— Wujaszek mówił mojéj mamie, że to przez intrygę.

— «Czy to rodzony brat mamy»?

— Nie, jego babka i dziadek mojéj mamy byli sobie ze stryjecznych cioteczni, ale jednego herbu.

— «A ta jenerałowa, ciotka pańska, czy to jest wdowa po tym jenerale, który tak nagle życie zakończył»?

— Tak jest, to był mój wujaszek, bo ojciec wujaszka i mojéj mamy ojciec to byli cioteczni, a i mama mamy także była cioteczna.

— «Słuchajżeż, panie Grzegorzu, z wszystkiego tego, coś mi powiedział, pokazuje się że niesłusznie wstydzisz się stryja organisty, a z bardzo mylnych zasad chełpisz się wujaszkami, i wierzaj mi, że niesprawiedliwém i bynajmniéj nieuzasadnionėm jest twoje pragnienie zgładzenia rotmistrza ze świata. Nadto, mój miły Durniewski, należy ci o tém wiedzieć, że rotmistrz na 50 kroków korek u butelki ustrzeli, — i nie było przykładu, aby kiedykolwiek chybił rzucone mu w powietrze jajko gołębie; — a już dwudziestu trzech przeciwników trupem położył. Rozumiesz, Grzegorzu! — trupem położył»!...

— Więc jak mi pan dobrodziej radzisz?... — blednąc wymówił Durniewski.

— «Jabym radził po pierwsze: nigdy osobom od siebie godniejszym i wiekiem starszym mowy nie przerywać; — powtóre: przed popisywaniem się z tytułami swoich pokrewnych zastanawiać się, czyli tytuły tychże pokrewnych są przypomnieniem dobrych lub złych czynów; — po trzecie do przelewu krwi bez prawéj zasady nie być skorym; — po czwarte nakoniec: księdza prałata dzisiaj jeszcze za swoję wczorajszą bezwzględną nieprzyzwoitość przeprosić, a rotmistrzowi za daną naukę przy pierwszej sposobności wdzięcznym się okazać».

Durniewski nad moje oczekiwanie pojął mnie zupełnie, bo pocałowawszy w ramię wyrzekł z pokorą:

— Niedarmo mama mówiła, że mi pan dobrodziej najlepiej w tym interesie poradzisz.

— «Dziękuję mamie za zaufanie, proszę się kłaniać; pana Grzegorza zaś przepraszam, że mając pilne zatrudnienie pożegnać go muszę».

Durniewski powtórzył ucałowanie mojego ramienia, wsiadł na bryczkę i do mamy pospieszył, jam do mycia owiec powrócił. — Trzask z bicza ponad spuszczającymi się za górę czterema w maleńkiej bryczce kasztankami podniecił myśl: iluż to Durniewskich na świecie!... a wszystkich rodzą Ulatyńskie!... wszyscy mają *słebra*, lecz nie pamiętają, w którym roku szły *nacye* za Napoleonem, bo im półtory klepki w głowie brakuje, organizm serca w tymże samym jest u nich stosunku, — dusza jeszcze się nie rozbudziła...

MOJA MÓWKA POGRZEBOWA.

Poeci od niepamiętnych czasów wiosnę do swych czułych wprowadzać zwykli utworów; — przynajmniej przed dwudziestu laty jeszcze mało z nich który mógł się obejść bez strumyków, bez wieczora majowego, zielonej trawki i kwileń słowika. — Nie tak powabną była dla mnie wiosna 1827 roku. —

Przy końcu kwietnia nie miałem i snopka jednego w stodole. Sypanie w najściślejszém znaczeniu tego wyrazu było puste; jęczmienia do siewu zabrakło; podatek zalegał; ośmiu rewersowanych żydów jakoby odklaskiwanego poloneza ze mną tańczyło, bo zaledwo wyjechał Jankiel, przyjeżdżał drugą bramą Herszek; pozbyłem się Herszka, zjawił się Lejzur; i przed Dawidem, Manysem, Neytlem, Szmulem i Abrahamem, dla których mi już ryb i indyków nie stało, potrzeba było jedne i też same zapewnienia rzetelności powtarzać. — W dzień pierwszego maja, — ach! pamiętam, — zjechali się do mnie prócz poczciwego Lejzura wszyscy wierzyciele moi. Straszliwy to był widok i należało mieć spartańską duszę, aby się takiéj nie ulęknąć walki. Już od godziny ujadałem się z najzacietszym przedstawiając i wrzeszcząc, że przed świętym Janem, przed strzyżą wełny, w czasie siewu żądać od szlachcica wypłaty jest jedynie chęcią wyraźną prześladowania go, nie zaś rozumu pomysłem; — gdy wtém spojrzę w okno — w oczach mi się zaświeciło; widzę jednak, że rozpuszczone galopem konie wpadają na dziedziniec z bryką, na któréj tłum ludzi, i wprost pędzą przededwór. — Królu jerozolimski! jeszcze tego brakowało!... Lejzur, zdrajca, który przed tygodniem za przyrzeczoną cierpliwość czterdzieści skórek był zadławił, z herodem spokojności szlacheckiej, z komornikiem Szczekotą, stanęli przedemną. — To już nad siły moje! — «Dosyć tych wykrętów, mości dobro-

dzieju, przepadła opozycya! Patrz pan — tu wyrok! a tu reskrypt prokuratora i pomoc wojskowa! Nie ma ratunku»! Tak, krzyknął komornik Szczekota, a szramami ospy oszpecone oblicze szatańskim pokryło się uśmiechem.

«Panie komorniku! kochany Lejzurku! bójcie się żywego Boga, miejcie sumienie! — Prawda jest, że już wszystko bardzo prawnie, ja niczemu nie zaprzeczam; — ale mi przynajmniéj dajcie godzinę czasu; ja zapłacę — z pewnością zapłacę, co do grosza zapłacę, tylko się przez godzinkę wstrzymajcie; za godzinkę powrócę z pieniądzmi. — Janie zaprzęgaj! hej Pawełek! Może pan Szczekota pozwoli porteru albo wina. Panie Lejzur! może jaj albo ryb świeżych; — wołajcie Ickowéj, ona to już dla pana Lejzura ugotuje. Pawełek, każ dla pana Szczekoty dać szynki albo marynaty; — bądźcie sobie radzi; — przecież ludźmi jesteśmy».

Spienionymi końmi, tumanem kurzu okryty w pół godziny stanąłem w najbliższéj mieścinie. — Na cudowną przez morze czerwone wyprawę, na wszystkie świętości Talmudu, na przyjście Mesyasza zaklinałem bogatego Izraelitę o pożyczenie pieniędzy; — lecz są okropne chwile w kolejach życia ludzkiego, gdzie nic w świecie nie jest zdolném złamać upartego losu. — W księdze moich przeznaczeń wyrytém było: «Nagelknopf, bryła lodu z sercem granitu, dzisiaj nie pożyczy pieniędzy». — Niemal w otrętwieniu rzuciłem się na krzesło. Obraz mojéj zagrody, niewinne owieczki, bydełko, żydzi,

komornik, wyrok, łączyły się w jedno widzenie, które z serca do duszy, z duszy do serca biegało; — a mózg, ta zachowalna przedmiotowość, ów mózg w najcięższym razie odbieżał. — Nagle drzwi się rozwarły: kilkunastu z obywateli, znajomych sąsiadów, w czarnych frakach w białe obszytych taśmy, w najserdeczniejsze pochwycili mnie uściski. — Oj! Oj! żebro mi zgniecieszę! — «Guciu! jedyny, drogi, ukochany Guciu! — Uryańska perełko! ciebie, aniołku! ciebie, klejnociku szukamy! — Nagelknopf! — sześć butelek 1811 roku, tego cośmy to w ostatni wtorek pili. — Wygraliśmy! — wygraliśmy»! — wrzeszczał jeden przed drugim, a zanim na tyle pieszczot odpowiedzieć mogłem, już rzeczony węgrzyn płynął przez moje usta. — «Trzeba ci, Guciu, wiedzieć, że Jerzy Błażej Przylewa, w przejeździe przez L. gwałtownie zasłabł, a zawczoraj nad ranem Bogu ducha oddał! Jak nas tu widzisz, najbliżsi krewni i spadkobiercy, zjechaliśmy się na pogrzeb; prócz księdza gwardyana, który żałobne mieć będzie kazanie, nie mogliśmy z obywateli w okolicy nikogo znaleść, coby mówkę pogrzebową obywatelską umiał powiedzieć. — Ciebie Bóg w przykrej zesłał potrzebie».

Alfonsie! uderz się w czoło; jesteś dosyć rozumnym człowiekiem i prawisz tak niestworzone rzeczy. W życiu mojém nie słyszałem, że Nalewa czy Przelewa żył na świecie, a przypuszczając, iż o nieznanym mi człowieku mógłbym wspomnienie uczynić, gdzież jest podobieństwem w jednej chwili

zebrać szczegóły z jego istnienia, gdzie się rodził? czy się uczył? czy wojował? czy jaką godnością, czy urzędem zaszczycony?

— «Najdroższy, najukochańszy Guciu! nie wymawiaj się na próżno; — tobie łatwiej mówkę powiedzieć, aniżeli mnie list do kochanki napisać. — Auguście! ty wiesz, że jestem twoim przyjacielem — uczyń to dla mnie. Bój się Boga, duszko! — jakżeż chcesz, aby go bez mówki jakby jakiego żebraka pochować; a toćże on czterykroć gotówki zostawił. — Coby też to świat na takie *scandalum* powiedział? Jeżeli Polcię kochasz, nie rób trudności. Tu idzie o honor obywatelski. — Jeżeli pragniesz mojéj przyjaźni».

— Ale cóż wam się dzieje? Rozumiałem, że to są żarty. Wiecież więc, że za godzinę Szczekotka na rzecz Lejzura wszystkie moje ruchomości sprzedaje, — że ja głowy nie czuję na karku, że się podemną świat pali.

— «Guciu! my Lejzura z duszą i ciałem zapłacimy».

— Ale cóż mi z tego, kiedy on, powiadam wam: za pół godziny sprzeda mój inwentarz.

— «Erneście! siadaj — wszakżeż Szczekotka twojemu stryjowi zawdzięcza swój urząd; — napisz mu, aby się nie ważył w Sękach żadnéj rozpoczynać czynności; niechaj tu przyjeżdża. — I ty, Nagelknopfu, poślej mi zaraz karteczkę do Lejzura z zapewnieniem, że jutro odbierze swą należytość; — hultaj, jeszcze mi za pszenicę winien. Au-

guście! słyszysz?! dzwonią... Jeśli masz iskrę litości w swém sercu»...

— Stało się! cóż z wami robić! Nagelknopf, większego szkła! — czcigodni i najszlachetniejsi bracia! wasze zdrowie!... Cieniom nieodżałowanej pamięci Jerzego Błażeja Przylewy! — i palnąłem potężny kufel złotego płynu.

— «Walny z niego chłopiec — w twoje ręce Auguście! «Sandomierskie, kochajmy się».

Jeszcześmy szóstej nie skończyli butelki, gdy chorągwie cechów, światła bractw, dom Nagelknopfa mijały.

Ale jakżeż ja w zielonym surducie, z czerwoném na szyi wiązaniem?... Bartłomieju! biegnij co żywo do pana podsędka, proś go na miłosierdzie Boskie o czarny frak. — Hej Bartłomieju i o czarną chustkę, i o rękawiczki! — Faktor! (a było ich kilku na pogotowiu) ot 5 złotych! ruszaj — jeden, 2 lub 3 łokcie krepy!

— Jakiego koloru?

— A czarnéj ośle! nie różowéj.

— Z przeproszeniem, bez urazy pańskiej, Abrahamka co dopiero wysłała konnego do drugiego miasta po więcéj towaru, bo wczoraj czarne wykupili panowie!...

— To przynieś brązowéj, czokoladowéj, tylko wracaj!

Tymczasem niegodziwy golibroda kilka razy mię szkaradnie zarznął! wszyscy wybiegli, jeden Ernest na straży przy mnie pozostał.

Już ks. gwardyan wymownym głosem skończył pochwałę zmarłego, już trumnę nad roztwartym postawiono grobem, gdyśmy z Ernestem bez tchu do kościoła wpadli. — Frak pana podsędka o wiele mi był za przestrony; w czarnéj jego krawatce jak gdyby w krakowskiém chomoncie szyja moja biegała; z brązowéj gazy trzy ogromne kokardy na lewéj ręce; — twarz zarumieniona; — bibułą opatrzone sączące znaki brzytwy i mocno sapiący nos stanowiły całość. — Wszystkich oczy zwróciły się na mnie, zimny pot wystąpił na czoło; Bóg świadkiem nie wiedziałem, co i jak począć? Szczęściem Walery szepnął mi: «urodził się nad Gopłem, uczył się w Trzemesznie — był przez rok cały liwerantem, umarł bezpotomnie zawczoraj». Patronie obłąkanych myśli! — westchnąwszy, w następujące odezwałem się słowa:

„Życie jest snem, śmierć przebudzeniem! — Kiedy twórcza potęga przyrody świat, w odmęcie słabych zawiązków poczęty, w istnienie trwałego bytu zrzeczywistniła, kiedy wiedza ducha wzbiła się nad wyobrażenia zmysłowości, wówczas już i życie człowieka przeszło w zakres smutnego przeznaczenia. — Od kolebki aż do grobu, na téj popędem czucia niezmierzonéj przestrzeni, igrający przelot ułudnych wrażeń ściga nas po wszystkich żywota kolejach; — on to ciśnie bólem serce, rzuca na krańce dotkliwych wspomnień, jaśnieje chwałą — żyje i ginie w obrębie nowego świata. Któżby się jeszcze przed kilku jutrzenkami był spodziewał,

że się tu dzisiaj wieńcem żałoby stawiemy? któż mógł przewidzieć, że mąż pełen siły, woli i życia runie ofiarą nieprzebłaganéj śmierci, że nas czarnym okryje kirem? W boleści i nieutulonym żalu pogrążeni! z jakiémże osmuceniem widzę konieczność ręką żelaznego losu tłoczoną, u drzwi grobowych, u wrót wieczności nieść tę ostatnią zmarłemu przysługę. — O ty! co tór ziemskich pojawów jednem skinieniem w hydrę pamiątek zamieniasz, a w niedościgłych serca ludzkiego uczuciach kamiennym ryjcem lata, dnie, godziny oznaczasz, otocz nas męstwem, którego srogi cios wymaga; — dozwól, aby mój głos pocieszenia do tkliwych rzewnego marzeń przeszedł obłędu.

Jerzy Błażéj Przylewa urodził się 1787 r. w dobrach matki swojéj Scholastyki Petroneli z Łodygów po nad Gopłem w mieście Kruszwicy. Ojciec Błażeja odumarł go gdy jeszcze małém był dziecięciem; natomiast troskliwa i przywiązana matka otoczyła jedynego syna tym splotem macierzyńskiéj miłości, którego niezłomne znamię widzieliśmy w całém życiu Błażeja. — Długo, długo drogie dziecię na łonie matki używało spokoju, lecz nadszedł nielitościwy czas nauk.

W Trzemesznie miało na Błażeja spłynąć to wyższe ukształcenie, jakie się znakomitemu należy rodowi, i już 20-tą wiosnę liczący Błażéj najpiękniejsze mógł rokować nadzieje, — gdy żądza sławy przeniosła Błażeja z przedsionka Muz na pole straszliwego Marsa.

Pamięć to zapewne Kaspra Przylewy, wpływ matki, a nadewszystko zdolności samego Błażeja, stały się powodem, że mu poruczono trudne a ważne obowiązki komisanta liwerunkowego.

Nie jest to w zakresie mowy mojéj wyliczać wojenne zasługi Błażeja; — znajdzie się karta dziejów ojczystych, na któréj dłoń nieśmiertelności pochwyci tę piękną lauru barwę i zaiste kwiat niezapomnienia z niego odłoni... — Po skończonéj wyprawie powrócił Błażej pod strzechę rodzinną i szablę na lemiesz zamienił. Odtąd byliśmy cnót jego świadkami. Lekkim prądem cichego strumienia i wirem zachwytu toczony, w jedno ognisko zestrzelił tajnię pomysłów i do szczęśliwego przypłynął celu. Ścieśniona brew żalu na bławatném niebios półkolu parta czczéj myśli zadumą, przemija nad zgliszczem starożytnéj odrośli; pozostaje jedynie siła samoistnienia w rozgłośnym śpiewie łzą błyszczących powiek. Przeminęłaś więc czarna nocy pogodnego przestworza; nielitośna Parka zgubném żelazem nić życia przecięła; — lecz się nie ciesz, okrutna śmierci, obrzydłém zwycięstwem, paszczą hyeny napróżno szukasz zdobyczy! nie, nie wydarłaś Błażeja z serc naszych. Tu, tu, tu on wiecznie żyć będzie, dopóki granic naszego starczy żywota! Otrzyjcie więc zwilżone potokiem łez powieki, rozjaśnijcie pierścieniem żalu i spełzłym rumieńcem owiane lica; z górnych niebios sklepień patrzy na nas Błażej; tam, tam, tam nas ocze-

kuje jego dusza anioła. Żegnam cię drogi cieniu— cześć i sława twoim znikomym popiołom»!...

Westchnienia i łkania licznie zgromadzonego ludu starczyły za najoczywistszy dowód, że w tętno słuchaczy trafiłem, i byłbym może więcej czułe rozrzewnił serca, bo jakoś na dobry tór wbiegłem, ale mnie sąsiad mój, pan Kazimierz, zbił z drogi, który uwiadomiony, że mam mówkę pogrzebową improwizować, poza filarem płacząc ze śmiechu, szybkim ołówkiem więził na papier myśli moje; — widząc go jak całą chustkę w usta wtłoczył, — o mało żem i ja się na głos nie roześmiał, a było to właśnie w tę chwilę, gdy wołając «tu! tu! tu»! po sercu mojém stukałem.

W przeciągu kilku godzin odpisano mnóstwo egzemplarzy rzeczonej mówki; dostał się jeden i w ręce moje zgodny z oryginałem. Dodać jedynie winien jestem, że całą noc już nie u Nagelknopfa, ale pana Imbiera, szwagra Szczekoty, piliśmy na zabój i że nazajutrz poczciwi obywatele z pogrzebu rzeczywiście dotrzymali słowa. — W roku dopiero zeszłym resztę długu na ową pogrzebową mówkę zaciągnionego szczęśliwie zapłaciłem.

Bogdaj to z obywatelstwem, z sąsiadami! stanowczą, z szczerego serca przynieśli pomoc — za jednę chwilę natchnienia.

O DOBRÉM WYCHOWANIU.

W zródłosłowie wyrazu szukaj jego prawdziwego znaczenia.

Badając wyrazy *dobre wychowanie* (chów — wychów), mimowolnie przypomniałem sobie dobrze wychowane konie, owce, woły, krowy, jedném słowem zwierzęta a i dzieci ludzkie w ich pierwszéj młodości — wyłącznie pod względem fizycznym. Pełnoletniego zaś młodzieńca, mężczyznę dojrzałego nazywać dobrze wychowanym, poczytuję za ubliżenie jego duchowéj godności. A przecież ta nazwa w kraju naszym niemal bezwyjątkowo wielką jest pochwałą u ludzi wyższéj warstwy naszego społeczeństwa, i zawiera w sobie nietylko piękne przymioty obyczajności, ale i naukowość i umysłowość chwalonego.!

Mylna to nazwa, o! bardzo mylna, a wypływa z niskiego żądania głównie gładkich obyczajów tylko, pomijając nazwę umysłowość, duchowość człowieka. U Niemców jest inaczéj: *ein wohl erzogener Knabe* (chłopiec dobrze wychowany) znaczy młodzieniaszka, mającego dobre obyczaje towarzyskie, to jest: że się ze starszymi nie sprzecza, że dla kobiet jest z uszanowaniem, że wobec czcigodnych ludzi nie ziewa, że przyzwoite nosi sukienki i t. d. i t. d. *Ein gebildeter Mann, ein gescheidter Mann* odnosi się wyłącznie do znamie-

nitego stopnia i naukowéj i umysłowéj dojrzałości, i ztąd też przymiotnik *wychowany* przeznaczają wyłącznie dla chłopca *(Knabe)*, a *naukowo* i *umysłowo wykształcony* dla *męża (Mann)*.

W Niemczech społeczeństwo czyli obywatelskie towarzystwo posiada trzy główne dzielnice: tak nazwaną klasę wyższą, średnią i niższą. Myśmy niedawno mieli tylko dwie klasy, wyższą i niższą, bo średnia dopiéro w początku dziewiętnastego stulecia z kolebki wyrastać poczęła. W Niemczech klasa średnia jest rządzącą, — u nas po dziś dzień przodkuje klasa wyższa. A że właśnie w naszéj klasie wyższéj przedewszystkiem starają się o dobre *wychowanie* młodzieży a rzeczywiste wykształcenie naukowe, umysłowe, zwykle pozostawiają dla ludzi chlebowych, więc też klasa wyższa przodkująca, ograniczając się tylko na *dobrém wychowaniu*, niedołężną jest w przodkowaniu, bo niską jest na drodze nauki, a bez nauki obecnie już się stało niepodobném pożytecznie przodkować, i oto źródło naszych klęsk ostatnich i najnowszych a bodaj i nie przyszłych.

W Polsce do przodkowania bezwarunkową potrzebą dotąd było imie wielkiego rodu. W Niemczech i w Anglii jedynie i wyłącznie umysłowość zasłużone odbiera pierwszeństwo; nie wymieniam Francyi, bo mi tego zabrania ostatni przykład z wyborów 1848 r., gdzie dla historyczności imienia rozum pogwałcony został.

Z tych to w najściślejszéj a niestety koniecznéj

treści zawartych zdań i uwag moich taki dla kraju naszego sens moralny przedstawiam. Nasza klasa wyższa za najświętszy poczytać winna obowiązek, aby jéj członkowie przedewszystkiem byli *gebildete Männer*, rzeczywiście naukowo ukształconymi ludźmi; *dobre* zaś *wychowanie*, aby się z pierwszego do trzeciego rzędu, to jest za naukę i za *szczerze poczciwe serce* usunąć raczyła.

To, com tutaj *o dobrem wychowaniu* napisał, jest maleńką cząsteczką dorywczych uwag moich; jest to niedbały a najogólniejszy zarys do bardzo dla nas ważnéj rozprawy. Z tego przekonania wychodząc, wzywam mężów umysłowo odemnie zdolniejszych a do sondowania zaprawnych, aby ten przedmiot, jako rzeczywistego dobra ogółu obecnie i na przyszłość bezpośrednio dotyczący, głęboko, jasno i obszernie opracowali; bo za prawdę, za prawdę powiadam wam, dopóki u nas *dobre wychowanie*[1]) przodkować będzie, zbawienia *naszéj* duszy spodziewać się nie możemy. Dixi.

---

[1]) Jeden z najznakomitszych obywateli naszego kraju, w mojéj obecności, bronił uporczywie zdania następującego: „Można być źle wychowanym, umiejąc po francusku, ale nie można być *dobrze wychowanym*, nie umiejąc po francusku“. Że zaś cała Polska posiada co najwięcéj — tysiąc obywateli, umiejących płynnie mówić po francusku, więc mamy tylko jeden tysiąc obywateli *dobrze wychowanych*. Djable mało na 20 miljonów ludności!

Księgi francuskie czytając, najdostateczniéj rozumiem,

LIST do REDAKCYI „BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ“ i LIST do WŁODZIMIERZA

pisany z Noskowa.

Warszawa, 15 września 1844 r.

Mości Redaktorze!

Kiedy *wielki krytyk*, pan Michał, listy swoje drukiem ogłosić raczył i kiedy czyniący nakład umiarkowaną cenę 22 złp. za 2 tomiki oznaczyć i nam te książeczki do Warszawy przysłać był

---

o co rzecz idzie, ale płynnie parlować nie umiem; zostając więc w wątpliwości co do mojego wychowania, — oddając się na sąd polubowny — zyskałbym może stopień *miernego wychowania;* gdyby się więc komu ze współczesnych lub z przytomnych przywidziało kreślić mój życiorys, winienby napisać: *„Au. Wi.. autor Ramot i Ramotek, chirurg filozofii, krzyża naturalnego kawaler, był miernego wychowania“*. Aby takiego epitetu uniknąć, dzisiaj jeszcze, chociaż mi już 44 lat minęło, bezzwłocznie kupię *Rozmowy* pani *Coquon* i przyjmę sobie rodowitego Francuza za lokaja, aby się dobrze we francuskiéj *konwersacyi* wyćwiczyć, bo chcę koniecznie posiadać ów nieodzowny warunek do *dobrego wychowania*, a ztąd krom doczesnych korzyści i po śmierci piękniejszy życiorys uzyskam.

łaskaw, — posłyszałem u nas wiele złośliwéj o tém mowy, a byli i tacy, którzy w przepełnionéj niesprawiedliwości ogłoszenie *własnych* listów, mieszczących *dorywkowe widzi mi się*, zarozumiałością nazwali. Co do mnie, który w tych listach obok wyraźnéj dla Thiersa niełaski, obok surowéj a nielitościwéj dla wielu autorów nagany, dla siebie miłą pochwałę znalazłem, — przyznaj, panie, że nietylko zdań literatów warszawskich podzielać nie mogę, ale przeciwnie *zmuszony* jestem *wielkiego krytyka* uwielbiać, bo onto moję wartość od razu poznał, ocenił i do nieśmiertelności przekazał. Otóż w uczuciu literackiéj wdzięczności zamierzyłem drukowanie listów, o ile będzie można, upowszechnić:— jakoż daj Boże doczekać, na rok przyszły wszystkie moje listy zebrawszy, odeślę je pod prasę. Tymczasem dla zrobienia początku przesyłam ci, panie, do Rozmaitości Biblioteki warszawskiéj na miesiąc marzec jeden z listów moich, pisanych z Noskowa 1837 r.; w czém tę chwilową znajduję dogodność, że obecnie kończąc dawno rozpoczęte dzieło pod tytułem: *Jak szlacheckie dzieci chować należy, aby się stały źródłem umartwień dla swoich rodziców, ciężarem dla społeczeństwa a pociechą dla Lucypera*“ — czasu do napisania pomniejszych ramotek rzeczywiście nie mam. Przy tém wszystkiém uprzejmym waszéj miłości rozkazom pragnę być zawsze powolnym.

LIST z NOSKOWA.

Nosków, 1 kwietnia 1837 r.

Kochany Włodziu!

W ostatnim liście doniosłem ci, że JW. prezesowa z Kozery, na imieninach u hrabiego w Dymnicach, publiczny z majorem Ostrołęskim uczyniła zakład, że każdego człowieka bez wyjątku pozna z postaci i z rysów twarzy, jakiego jest stanu, urodzenia i pochodzenia. — Wielu z obecnych i ja z nimi natychmiast winszowaliśmy wygranéj majorowi; — ale znaleźli się i stronnicy prezesowéj; ostatnim przodkował filozof od ciemnéj gwiazdy, sławny odszczepieniec XIX stulecia, baron Barłoguski, ten sam, który pracuje nad dziełem: *„O użyciu wywarów na karm dla ludzi roboczych“* — a nawet pan baron oświadczył, że do połowy zakładu należy. Po skończonéj stypie major i kilku młodzieży na noc do mnie pojechali. Długośmy radzili, kogoby obrać z plebejuszów, któryby naszym przeciwnikom nieznany, rolę patrycyusza trafnie odegrał; — aliści szczęśliwie przypomniał mi się niezaprzeczony plebejusz, niemniéj przeto wytworny światowiec, Szczepan...., syn trębacza od fary poznańskiej a po kądzieli wnuk rybaka z Kruszwicy, — Szczepanek, z którym do gimnazyum i na uniwersytet chodziłem. Gdym go majorowi i szanownym sprzymierzonym wiernie opisał, wszyscy zgodzili się na to, ażeby pana Szczepana cichaczém jak najrychléj sprowadzić. Téjże saméj nocy

odesłałem list na pocztę do Wielkopolski. Przyrzekliśmy sobie milczenie i nazajutrz każdy do swojéj wyruszył zagrody, zobowiązując się stanowczo, że na pierwsze wezwanie stawić się nie omieszka. Upłynęło dni 10, a ani Szczepanka ani odpowiedzi nie było. Już zacząłem wątpić o pomyślnym skutku méj prośby, gdy wieczorem zaturkotało na dziedzińcu i w téjże chwili wtoczył się do pokoju szopami okryty, zaśnieżony, atletycznéj postawy, wąsaty i brodaty Szczepan, a za nim żydek z pocztowego miasteczka z maleńkim tłomoczkiem. Uściśnienia szkolnych przyjaciół były szczere. W godzinę rozpisałem listy. Około południa sprzymierzeni przybyli. Nie czekając na obiad rozpoczęliśmy posiedzenie. Szczepan przedewszystkiém oświadczył, że chętnie każdą odegra rolę, aby niecny przesąd upokorzyć. O szczegółach naszéj wielkiéj ostatecznéj rady dowiesz się z czynów, które kreślę poniżéj. Tutaj przytoczę część mojéj dodatkowéj z Szczepanem rozmowy, iżbyś się o jego zdolność nie obawiał.

— Pamiętaj tylko, Szczepanku, gdy przyjedziemy pomiędzy te wrony egipskie, że winieneś, mówiąc po polsku, używać często składni francuskiéj i wyrazy polskie przeplataj, o ile można cudzoziemskiémi; takie papuzie majaczenie różnemi językami za najwyborniejszą posłuży ci maskę i nie szczędź tą razą drogiéj mowy naszéj, kalecz, morduj każdy okres, każde słowo, każde ust roztwarcie.

Szczepan. To się samo przez się rozumie. Czyli mnie masz za *nowicyusza* w salonach?...

— Nie, nie; ale widzisz, ja wiem, o ile ty lubisz mowę rodzinną, o ile nią czarująco władasz.

Szczepan. Jako syn ludu, za prawdę, nie wmięszam obcego do polskiéj rozmowy wyrazu; ale gdy będę hrabią Ademarem, oh! *oh je vous ussure, que je ne saurai exprimer* moich uczuciów inaczéj, jak po salonowemu. Alboż ty myślisz, że i u nas w Wielkopolsce tego rodzaju paplotanie do dziś dnia w tak nazwanéj wyższéj koteryi najmodniejszym być przestało?... Niestety francuszczyzna jak dawniéj tak i obecnie jest u nich jedyną świątynią umysłowości, a dzieła i pisma czasowe w języku polskim dla średniejszéj szlachty, dla mieszczan, ale nie dla nich drukują.

Z tych kilku ustępów przekonałeś się zapewne, żem szczęśliwie wybrał Szczepanka, i istotnie, serce jego dobrze uczuło i pojęło, o co nam idzie.

W kilka dni potém chyża wieść z wioski do wioski, z dworca do dworca, zaziajanym telegrafem biegła, że do mnie wprost z Madrytu przyjechał Ademar hrabia Firlej; że ojciec Ademara przed 20 laty zginął pod puginałami włoskich bandytów; że matka Ademara jest księżniczką hiszpańską de los Manos Espinada; że Ademar dla tego Madryt opuścił, ponieważ się w nim pokochała królowa, a na związek takowy kortezy na teraz zezwolić nie chcieli itd. itd.

Pani Paplecka, dziedziczka Milczącéj-Wólki, mając sobie przez Stasia te wszystkie szczegóły w wielkim sekrecie powierzone, lękając się, aby

się ktokolwiek z ust innych o tém nie dowiedział, z *pościelą* na objazd powiatowy wyjechała i podobno, że najlepszą ochwaciła fornalkę; — ale téż za to przed ostatnim wtorkiem stanęła u prezesowéj, do któréj na wielki bal całe sąsiedztwo i ja z mym gościem przez siostrzeńca pani prezesowéj zaproszony byłem.

O godzinie 4-téj z południa w największéj paradzie zajechaliśmy przed pałac w Kozerach. Wszystkie dolne szyby, a nawet niektóre z górnych mozajkowane były różnorodnemi twarzyczkami damskiemi, wpośród których tu i ówdzie najeżone mężczyzn wąsy komiczną stanowiły sprzeczność. Pod kolumnadą przyjął nas rodzony brat prezesowéj, hrabia Szumiłło, niegdyś szambelan Stanisława Augusta, dzisiaj rezydent w Kozerach i niezmordowany angielskiéj gitary zwolennik a francuskich aryetek zapalony miłośnik.

— «Grzeczność łaskawego sąsiada miłą zawsze dla nas będzie powinnością» — wyrzekł do mnie szambelan, a memu towarzyszowi, mniemanemu Firlejowi, tak się bardzo nisko ukłonił, że o mało równowagi nie stracił.

Prezesowa spostrzegając nas wchodzących, jak z procy wyleciała z fotelu i przyspieszoném kołysaniem starała się pierwéj od nas do środka salonu dobieżyć. Jakoż w samym środku miałem zaszczyt wygłosić:

— *Madame j'ai l'honneur de vous presenter M. le comte Firlej.*

Wyrazy *„le comte Firlej“* wymówiłem tak dobitnie, że całe towarzystwo, nie wyjmując o zgrozo! i dam, *churmem* powstało. Pani prezesowa usunąwszy się pół kroczka wstecz, zrobiła wielce wspaniały dyg; towarzyszył mu uśmiech szczęścia. Pan hrabia Firléj, nie ruszając się z miejsca, pchnął swoją postać naprzód, przybrał wyraz twarzy nader poważny, uprzejmém uszanowaniem okolił usta i pięknem narzeczem salonów paryskich wyrzekł w języku francuskim głosem umiarkowanym i słodkim:

— «Pani! zaszczyt być przedstawionym pani prezesowéj zwiększa się dla mnie familijném uczuciem, — albowiem nazwisko rodziców pani ozdabia genealogiczne drzewo przodków moich».

Prezesowa, słysząc te wyrazy wymówione w obec *całego* sąsiedztwa ogłaszające, że z Firlejem jest spokrewnioną, łzami radości maleńkie zwilżyła oczy, a przymrużając je rozkosznie, drżące zaimprowizowała westchnienie.

— Ach! ileż to razy moi rodzice wspominali... Co do mnie ubogą jestem w wyrazy, aby moją radość wysłowić, że tak godnego poznaję kuzynka.

— «Pani! zaprawdę, ten dzień szczęścia mojego do najtkliwszych pamiątek policzę».

— Jak się miewa mama hrabiego, o któréj wysokich przymiotach tak wiele słyszałam, którą mieć szczęście poznania dawno jest mojém najgorętszém życzeniem.

— *„Merci! mon maman* jest zdrową, zostawiłem ją w *Madryt“*.

Odtąd Ademar mówił językiem plecionym, do którego czasem i włoskie i angielskie mięszał wyrazy.

— Pan hrabia dawno wyjechałeś z Madrytu?

— „*Quelques jours apres* rok nowy».

Całem towarzystwem otoczeni w maleńkiej procesyi zbliżyliśmy się do kanapy; Ademara usadzono na wielkim fotelu, — panie cisnęły się o zajęcie najbliższego miejsca przy panu hrabim Firleju. Niewdzięczna prezesowa zapomniała do mnie wyrzec i słowa; — natomiast Paplecka z Milczącej-Wólki, chwytając mnie grzecznie za rękę odwiodła, na stronę i spytała skwapliwie:

— «Jak długo hrabia w Polsce zabawi»?

— Zależeć to będzie od listów z Madrytu.

— «Czy matka hrabiego istotnie księżniczka»?

— Związkami pokrewieństwa z Burbonami złączona.

— «I pan znasz hrabiego»?

— Od lat 26 maleńkiem jeszcze dziecięciem.

— «I pan hrabia znajomi się z panem»?

— Zaszczyca mnie swoją przyjaźnią; — podróżowałem z nim przez lat kilkanaście.

— «W których krajach»?

— We wszystkich częściach świata — od Chin do Lizbony zwiedziliśmy wszystkie miasta i miasteczka; niemal każdy zakątek, na którym historya świata swą czarującą położyła pieczęć.

— «Ja nie wiedziałam, że pan tyle podróżowałeś! bardzo przepraszam».

— Zawsze panią uwielbiam.

Gdym się na Ademara obrócił, spostrzegłem, że wszyscy jak w cudowną tęczę weń oczy wlepione mieli. Nawiasowo, a najgrzeczniej właśnie go egzaminowała prezesowa co do jego stosunków majątkowych. Hrabia odpowiedział, że podróż jego do Polski ten tylko ma cel, aby rozpocząć proces o spadek ojczysty; co zaś do macierzystego majątku — dodał niedbale, — że należy do *les plus brillantes en Espagne.*

Półgłos 1: *„Il est* czarujący. 2. Jakie ułożenie! 3. Co za edukacya! 4. Żałuję, że nie przyjechał Ostrołęski, przekonalibyśmy go, jak wyraźnie piętnuje się wysokie urodzenie. 5. *Vous avez raison, ma petite.* — Nieco głośniej dodała prezesowa: mój ojciec jest bardzo blisko spokrewniony z Firlejami. — Półgłos 6: Ale on przez matkę daleko wyżej stanął. 7. *Paplecka.* Tak, krew Burbonów w nim płynie; czy on się też ożeni?... 8. O! z pewnością! ale z kim? — Rozumiem, że nie w Polsce.

4. *Naturellement! si riche!* może sobie i za granicą poszukać księżniczki. 5. Kto wie? może jego matka nie bez przyczyny bawi w Madrycie. 6. O jakby to było chlubnie dla naszego narodu! gdyby Firlej zasiadł na tronie Hiszpanii! 7. *Paplecka.* Żeby mu to napomknąć, co też on na to powie»?...

— «1. *Mon Ange*, nie wypada, należy szanować tajemnice polityczne».

Następnie Paplecka zapominając, że już roczek

40-ty jej życia przeminął, ze spuszczonemi na dół oczyma nie śmiało hrabiemu uczyniła zapytanie, jak znalazł swoje rodaczki; czyli się zgadza z głosem całej Europy, że Polki przodkują płci pięknej całego świata.

— Mając szczęście konwersować do pani, *je ne blasserai la verite*, kiedy oświadczę, że tych uczuciów z całą Europą zawsze podzielę.

— 1. «Co za grzeczność! 2. Jakie słodkie wyrażenie!! 3. Jaka odpowiedź *a propos*. 4. Co za usta! 5. Jakie zęby! 6. Co za nos! 7. Co za oczy! 8. Co za włosy»!

Barłoguski. Cała postać zachwyca i zniewala razem. On jest istnym Appolina polskiego obrazem. Ale bo też to wszystko pochodzi z wysokiego urodzenia.

Zrazu na cicho wyrzeczone pochwały niezadługo zamieniły się w głośne uwielbienia, których hr. Firlej słuchał bez zarumienienia; niekiedy tylko lekki ukłon świadczył, że był łaskaw przyjmować należną mu cześć.

Nie będę cię nudził opisywaniem całego mnóstwa szczegółów tych wszystkich hołdów, jakimi z ubliżeniem własnej godności wszyscy obsypali mniemanego Firleja. Barłoguski odzywał się do naszego Szczepanka z taką uniżonością, że zdawało się, jak gdyby pan baron u hrabiego o posadę podleśnego się starał. Prezesowa o mało, że całego słownika dla wyrazów *„mon cher* kuzynku» nie zapomniała; a syn trębacza widząc, ile ją swojém

kuzynostwem uszczęśliwił, co chwila także „*ma respectable cousine*“! głośno powtarzał. Wystaw sobie, do jakiego stopnia pomięszało się w głowie Barłoguskiemu, że ile razy Firlej do niego przemówił, on zawsze z krzesła się zrywał i mimo grzecznych próśb siedzącego dopóty usiąść nie chciał, dopóki Firlej wszczętéj z nim rozmowy nie ukończył: Podczas wieczerzy przyjechał Ostrołęski. Prezesowa przy przyjęciu pocałowania swéj rączki szepnęła mu z cicha: «Majorze *connaissez vous le comte Firlej*? Otóż to z pierwszego wejrzenia poznasz wysokie urodzenie. — *Savez vous*, on jest moim kuzynem, rodzi go hiszpańska księżniczka Manos Espinada». Major odpowiedział z uśmiechem: «pomówimy o tém potém». Prezesowa się zmięszała i ze zwykłą kobiecie przenikliwością z tych kilku wyrazów majora domyślając się reszty, pełnym rozpaczy wzrokiem na mnie rzuciła. Mimo wszelkiéj usilności śmiechu wstrzymać nie mogłem. Prezesowa zbladła, zsiniała i nagle z zadziwieniem całego towarzystwa udając wielką słabość, do przyległego oddaliła się pokoju. Roznoszono pasztet z dzikich gołębi z truflami, gdy się ten drugi akt rozpoczął. Paplecka bezzwłocznie wracając od prezesowéj prosiła mnie, abym za nią pospieszył. Wyznaję ci, mój Włodziu, że mnie trochę zimno przeszło; wypiłem więc dla lepszéj odwagi całą szklankę czerwonego wina, otarłem serwetą usta i udałem się do prezesowéj. — Prezesowa siedząc na kozetce, mając przed sobą trzy wielkie flakony z trzeźwią-

cymi kordyałami, głosem drżącym i słabym prosiła, abym się do niéj przybliżył — i po cichu na ucho spytała: «Panie Auguście, powiedz mi pod słowem honoru, co to jest za Firlej? czyli mnie tylko za bardzo nie skompromitowałeś»? — To jest, — również cicho do ucha odpowiedziałem, — Szczepan, syn trębacza od fary poznańskiej. Prezesowa wrzasła i *na doprawdy* zemdlała. Ile tylko było białogłów, wszystkie biegły na krzyk Papleckiéj; mężczyźni powstali od objadu i zrobiło się wielkie zamieszanie.

Korzystając ze szczęśliwéj chwili już się z Firlejem na dziedziniec wymykam, aliści mnie w sieni Paplecka za poły chwyciła prosząc błagalnie»: Panie Auguście! przez litość powiedz mi, coś ty szepnął prezesowéj»?

— Zmiłuj się pani, puszczaj mnie, nie mogę, — zdradziłbym tajemnicę stanu.

Ciekawość Papleckiéj nie znała granic. Klęka i woła: «w imię Boga! wyjaw mi ten sekret, bo w twoim ręku zemdleję»!

Lękając się nowego wypadku, nachylam się do ucha Papleckiéj: — Pani możesz mnie zgubić!

— «Gdyby moja matka z grobu powstała, słowa nikomu nie powiem».

— Mniemany Firlej, którego pani poznałaś, jest Lucyan Bonaparte. — Paplecka skamieniała, ja z Firlejem skoczyliśmy do pojazdu.

Wczoraj słyszałem, że Barłoguski i szambelan za mniemaną obrazę prezesowéj pojedynkiem się

odgrażają. Co się dalej stanie, doniosę; obecnie pisanie moje kończę, bo wyjeżdżamy na proszony kawalerski obiadek do majora, od którego bliższych szczegółów o zakończeniu drugiego aktu dokładnie się dowiemy. Całunki, bratnie uściski — szczerze się kochający

Au. Wi.

O POTRZEBIE
ZAŁOŻENIA U NAS BIBLIOTEK I STOWARZYSZEŃ AGRONOMICZNYCH
w każdym powiecie.

«Kiedy z książek nie gospodarowano, Polska była spiżarnią Europy; twój dziad i pradziad książek agronomicznych nie znał, a miał więcej czerwonych ze złota aniżeli ty, uczonych gospodarzy zwolenniku, masz białych ze srebra złotówek».

Takimto rozrzewniającym argumentem cisnął na mnie jeden z tych dobrodusznych współobywateli, który prócz odłamków wiadomości z kalendarza Pukszty, żadnego w życiu swojém dzieła agronomiczno-naukowego, rozumującego, ani znał ani widział, a tém mniej do rąk wziął.

«Czytałem ja kilka książek o gospodarstwie», odezwał się *drugi*, nibyto nieco mędrszy, — «żal się Boże grosza, który na ten cel zmarnotrawiłem».

«Czy pan dobrodziéj rozumie», — pochwycił *trzeci* za słowo, — «że te książki piszą ludzie mający jakowe dobro na celu? — są to, panie dobrodzieju! golcy i próżniacy, którzy chcą żyć cudzym kosztem i z téj przyczyny siłą się na różne koncepta. Człowiek często, aby się pozbyć natrętnego lub też przez szczegółowe stosunki, czasem z litości nad zgłodniałym, kupi od takiego mędrca kilka tomików jego agronomicznych bredni, ale nie głupim je czytać, tém mniéj stosować się do nich».

Żadna reguła bez wyjątku, ale co do ogółu naszych właścicieli i dzierżawców powyżéj przytoczone głosy są powszechne. Nasłuchałem się panów pierwszych, drugich i trzecich do woli; — napotkałem ich w każdym powiecie, jakby nasiał, a obywatela, któryby do wiejskiego gospodarowania szukał obszernych wiadomości, któryby obok tego, że nie gardzi miejscowém doświadczeniem siwo-włosego karbowego lub kmiotka, był ciekawym dowiedzieć się z książki, jakie uczyniono postępy na drodze badań agronomicznych, któryby ciągle i pilnie dzieła naukowo-gospodarskie czytał i przeczytane porównywał, z przeczytanych dostrzegał nowych odkryć, próbował w małéj, wprowadzał na większą skalę do praktyki gospodarskiéj, — takiego obywatela, na pięćdziesięciu właścicieli a na trzystu dzierżawców ledwo że jednego i to nie we wszystkich stronach naszego królestwa napotkać można. Panowie pierwsi, drudzy i trzeci z tuzinem odcieniów niedbalstwa, uporu, ograni-

niczoności u starszych, a lekkomyślności u młodszych, chyżo przyjmując z zagranicy wszystkie mody i narowy zbytku, umiejętnéj sztuki gospodarowania przyjąć nie chcą; — niepomni, że ich prywatne majątki są majątkiem całego narodu, że na nich cięży odpowiedzialność za ubóstwo całego kraju. Partacząc przedpotowym regulaminem, nie chcą chodzić w złotych szatach, lecz kontentują się łachmanami, a o *dobro ogółu* tyle się troszczą, co Kruczek o piątą nogę. Jeszcze u nas nie minęły czasy, że rodzice nieudarzoną dziatwę, nieuków, leniwców, do wiejskiego gospodarstwa zaprzągają, a dla zdolniejszéj młodzieży rozmaite inne ale nie rolnicze wyszukują zatrudnienia. Ile na tém traci tak moralne jak i materyalne szczęście kraju, trudno obliczyć; to pewna, że straty są olbrzymie, bo wszystka niedola wieśniaczego ludu i całe ubóstwo naszego rolniczego, szczodrze od natury upo sażonego kraju, od naszych właścicieli ziemskich, ograniczoności umysłowéj w życiu patryarchalnéj względem chłopków władzy (o czém w oddzielnych uwagach zdanie objawię) i od naszéj gnuśności w zawodzie materyalno-rolniczym głównie i po szczególe zależy. Anglia i Niemcy, dla których kraj nasz niegdyś był spiżarnią, pospiesznie dążą na najwyższy szczebel znamienitości rolniczéj, — my żółwim czołgamy się kroczkiem. Ameryka, ta olbrzymiéj rozległości część świata w powiększaniu uprawnych pól zdaje się żadnych nie mieć granic; amerykańskie zboże, z przyczyny klimatu dobro-

cią i suchością do wodnych przesyłek o wiele nasz towar przewyższające, zaściela nietylko targi angielskie ale już i niemieckie, — a my się jeszcze za żywicieli Europy, za bogaczy uważać będziemyż? Czyliż ohydne kartoflane gospodastwo wiecznie ma u nas pozostać najwyższym szczeblem postępów rolniczych? — czyliż nie zabierzemy się do uprawy buraków na wyrabianie cukru, za który tyle milionów z ubogiego naszego kraju wychodzi? — czyliż powszechnie nie pojmiemy tego zakału, jaki nas słusznie obarcza, że będąc krajem rolniczym za lniane wyroby miliony za granicę wysyłamy? Nie poszukamyż innych źródeł zamożności nad te, któreśmy po przodkach odziedziczyli, a których wartość w nowych stosunkach świata tak bardzo się zmniejszyła? Nędzne nasze gospodarstwo rolnicze nie znajdzież powszechnéj odmiany?... Czyliż zamiłowanie jawnego ubóstwa ma się u nas stać nałogiem w naturę zamienionym? — przemysłem rolniczym będziemyż wiecznie pogardzać?... Książki agronomiczne, rozumowa nauka gospodarstwa, czyliż się pośród nas nigdy nie rozpowszechnią?... Z szaloną nagłością dokonana zmiana całego na raz gospodarstwa gubi; zmiana rozsądna, kolejna, zbogaca i uszczęśliwia. Rolnicy! uczmy się! sromotą jest dzisiaj poprzestawać na agronomicznych wiadomościach, których nam udzielił karbowy lub harapnikiem zbrojny ekonom: uczmy się, bądźmy w nauce pilnymi; na pojęciu nam nie zbywa, chciejmy tylko a wkrótce zrównamy nā-

szym niemieckim nauczycielom. Posyłajmy synów naszych do szkół agronomicznych, oddawajmy ich w przymusowe obowiązki do wzorowych i umiejętnych gospodarzy, — a my ojcowie, czytajmy w domu, co się i jak się dzieje w świecie agronomicznym. Dzieła agronomiczne, ten podatek każdemu stokrotnie się nagrodzi; mniéj galonów i sześcio-złotowych guzów herbowych na biodra, klapcie i tyłki lokajskie — a więcéj książek, mniéj balów, a więcéj zgromadzeń agronomicznych, których opis w Rocznikach gospodarstwa krajowego umieszczony, pan F. S., kartoflanych gorzelni obrońca, w Nrze 87 «Korespondenta rolniczego» z 1843 r. w grubem niepojęciu sielankami nazywa. Mniéj przebrzydłych francuskich romansów, więcéj pism agronomicznych; mniéj odwiedzin miasta, owych karnawałowych kadencyj, mniéj służby djabełkowi (lancusiowi), faraonowi, więcéj książek; — mniéj czasu na wieczory wista! więcéj czasu na czytanie książek; — mniéj kosztownego napoju, mniéj wybrednego jadła u francuskich restauratorów (boć nawet i zdrowsza polska strawa), więcéj książek: ujmijmy sobie tylko po odrobinie z każdego zbytkowego wydatku, a stanie nas na kupienie dostatecznéj ilości dzieł pożytecznych, że zaś przy szczeréj chęci do czytania czasu każdemu starczy, najuroczyściej wszystkich leniwców o tém zapewniam, a tym, którzyby się krótkim wzrokiem wymawiali, polecam wyborne, wzrok wzmacniające okulary u optyka Bachmana na Podwalu za ceny najumiarkowańsze. Ale ten

głos mój jakże małą liczbę uszu doleci?... Ci właśnie panowie, którychbym prawdą moich wyrazów przeniknąć chciał, którzy tej odezwy potrzebują, zaprawdę książek nie czytają. Piotr usiadł na kole parowém w gorzelni i o resztę agronomicznego świata nie pyta; wydał tysiące na miedź, zapłacił rozum, który mu gorzelnią urządził, grosza na żadną książkę nie wyda; prędzéj dałby kilkadziesiąt złotych składki na postawienie pomnika nieśmiertelnemu Pistoryuszowi; — Paweł wie, że w żadnéj książce sposobu zwiększenia ilości pańszczyzny i ulubionych darmochów nie wyczyta; Jakób wyjechał na jarmark k'woli dobrego ponczyku u Abramki; Jerzy procesem zaperzony o dwa morgi krzaków i o zniesienie karczmy, którą mu sąsiad na klinie granicznym o sto kroków od jego bachusowéj kaplicy wystawił, pisze adwokatowi instrukcyą do apelacyi i ładuje dlań 500 złp.; Wojciech w ogólności czytać nie lubi, i już siódmy rok jak bez przerwy gra w wista; — Staś z żydami prowadzi bezprzestanne układy i zajęty jest wymazaniem z hypoteki dożywocia matki swojéj; Władzio wyjechał do Włoch; Alfons utrzymuje, że w jednym dniu od króla Faraona na Krakowskiém-Przedmieściu więcéj zyskać może, aniżeli przez trzy lata nudnéj gospodarki na wsi, — a z przysłanych mu «Roczników gospodarstwa krajowego» kazał porobić fidibusy do zapalania fajek, — nadto on nie potrzebuje wiadomości agronomicznych, dla niego gastronomiczne u Marego są wystarczające, — do-

bra wypuścił w trzechletnią dzierżawę panu Zgoninie, a pan Zgonina na trzechletniéj dzierżawie osobiście od rana do wieczora pilnując wymłotu, jak żyw nie słyszał, że są ludzie, którzy piszą o gospodarstwie. Potrzeba przeto szczegółowéj siły elektrycznéj, aby tę zgraję do życia naukowego w zawodzie rolniczym pobudzić. Czcigodni obywatele! wy, którzy na tę nazwę rzeczywiście zasługujecie, wy jedynie moglibyście waszych ku dobremu nieskorych, niechętnych lub niedołężnych sąsiadów, na rozumniejszą naprowadzić drogę. Silni czcią i powszechnym szacunkiem uczyńcie prywatne do waszych sąsiadów odezwy o składkę na zakupienie dzieł agronomicznych, ku wspólnemu użytkowi służyć mających. Pierwszy początek w téj mierze najłatwiéj uczynić przy wyprawieniu uczty w dzień swoich imienin. Przypuszczając, że się zjedzie dziesięciu sąsiadów, — gospodarz, solenizant, po obiedzie, (w którymto czasie nasze animusze zwykle już żywszym goreją ogniem) płeć męską zaprasza do osobnego pokoju, — wnoszą omszałego węgrzyna, pije się «obywatelskie zdrowie», poczém jędrna wymowa ogłasza projekt; — równocześnie podają arkusz papieru, atrament i pióra, solenizant, gospodarz, pierwszy wpisuje: «Celem zakupywania książek agronomicznych i modelów na ulepszone narzędzia gospodarskie, na wspólny naszego powiatu użytek służyć mających, wypłacę po strzyży owiec złp. 1 rocznéj składki z każdéj włóki ziemi przezemnie posiadanéj, (dzierżawca pła-

ci tylko 15. gr. pol. od włóki folwarcznéj); nadto zobowiązuję się jednego jeszcze z moich tu nieobecnych przyjaciół do równéjże składki nakłonić, w przeciwnym razie składkę podwoję. Takąż sumę rok rocznie płacić uroczyście przyrzekam i obowiązuję się dla wspólnego dobra naszego, — na co się własnoręcznie podpisuję. N. N».

Że czcigodnemu solenizantowi żaden z szanownych gości nie wymówi się od podobnego zapisania się, wątpliwości nie ulega. Dalsze formy jako to: wybór wykonawcy, ustanowienie kolejki rozsyłania książek, oznaczenie ilości czasu do czytania, łatwo się wypełnią. A tak w jednym powiecie od razu stworzyłoby się 20 członków; — w przecięciu licząc na każdego włók 50, a więc złp. 50, — powstałaby przeto suma złp. 1000 rocznie; — przez lat 10, gdyby się liczba członków i zwiększyć nie miała, urośnie kapitał do 10,000 złp. — Jakże to sporą za te pieniądze biblioteczkę skupićby można! Należałoby do tego zaprowadzić zjazdy w mieście powiatowém pod prezydencyą naczelnika powiatu np. co kwartał odbywać się mogące, — na których to zjazdach byłaby wymiana ustnych zdań o czytanych dziełach, z czego zczasem wyrodziłyby się rozprawki na piśmie, wyborne, bo miejscowe materyały do agronomicznych pism peryodycznych. Najobojętniejsi nie chcąc się wyłączać z ogółu zwabiliby się i wciągnęli zwolna; powstałoby życie naukowe w naszém gospodarstwie, — a w kraju, którego najgłówniejszą rzeczą i bogac-

twem jest rolnictwo, — rząd opiekuńczy nie odmówiłby swej sankcyi tak pożytecznym zamiarom. Dla obywateli czyniących początek w tym celu, dla podejmujących trudy wykonania i zaprowadzenia porządku, należeć się będzie znakomita cześć i wdzięczność narodu. Wieczyste kosztem wspólnym zadzierżawienie maleńkiego folwarku już nie w każdym powiecie ale w każdéj gubernii, i oddanie tego folwarku pod zarząd uczonego agronoma, któryby wszystkich teoryj w praktyce próbował; zaprowadzenie tamże szkoły dla owczarzy, karbowych, ekonomów; szkoły, w którejby się praktycznie usposobić można w urządzeniu jedwabnictwa, pasieki, tyle u nas zaniedbanego rozmnażania ryb, szczepienia drzew owocowych, wzorowego hodowania koni, bydła rogatego, i t. d.; wyznaczenie nagród dla rzemieślników narzędzia rolnicze udoskonalających, — i tym podobne agronomiczne dążenia, — zwolna, z czasem, wysnułyby się jak z rogu obfitości z agronomicznego stowarzyszenia obywateli, bo to, co dla jednego jest niepodobieństwem, dla kilkudziesięciu przychodzi z łatwością. Mojém przekonaniem jest, że bynajmniéj nieuciążliwe składki byłyby dostateczne do stworzenia na tej drodze olbrzymich postępów w materyalnéj pomyślności kraju, a każdemu sowicieby się wynagrodził grosz dany do wspólnéj skarbnicy. Do téj chwili każdy w swojéj siedzi skorupie, wspólność dążeń w ulepszeniu naszego gospodarowania wiejskiego jest nam jeszcze obcą, a wieści z prowincyj niemieckich o agronomicznych

stowarzyszeniach, które tyle błogich wydały owoców, które najgorliwszą opiekę rządów znalazły, rozbijają się o nasze uszy, jak gdybyśmy nieuleczoną głuchotą nawiedzeni byli. Powtarzam: czyniących u nas początek ze stowarzyszeń agronomicznych oczekuje cześć i wdzięczność.

— Nieład i zbytnią ogółowość, jakie się w tej mojéj odezwie znajdują, tém uniewinniam, że nie widziałem potrzeby narzucać szyku myśli i szczegółowych formułek tam, — gdzie dowolność pierwszym jest warunkiem.

Po raz trzeci: czyniących u nas początek ze stowarzyszeń agronomicznych oczekuje cześć i wdzięczność!

EMANCYPACYA SABINY

ZE STANOWISKA ABSOLUTNEGO.

KOMEDYA

w dwóch aktach.

OSOBY: Spirydyon Paproć Razinoski, dziedzic dóbr ziemskich i sędzia pokoju. — Razinoska, sędzina, żona, uprawiająca filozofią. — Sabina, dziewica 17-téj wiosny; Horcia, dziewica w 9-tym roczku, córeczki państwa Razinoskich. — Rublewicz, spekulant warszawski. — Rublewiczowa, żona. — Błażej, syn Rublewiczów. — Pantaleon hrabia Majo-

nież. — Dr. Piguła, lekarz domowy Razinoskich i Rublewiczów. — Rejent. — Piórczyński, sekretarz Razinoskiego. — Jankiel, dzierżawca mléka i faktor dóbr pana Razinoskiego. — Szaraczkowska, matka pani Rublewiczowéj. — Kunegunda, Petronela, Urszula, córki p. Rublewiczowéj, będące na wychowaniu u babki. — Fruzia, panna garderobiana pani Razinoskiej. — Jan, lokaj pana Razinoskiego. — Maciej, stróż z kamienicy Rublewiczów.

Rozmaita służba państwa Razinoskich.

Rzecz dzieje się w pomieszkaniu państwa Razinoskich, a częścią także w pomieszkaniu państwa Rublewiczów w Warszawie.

AKT I.

SCENA PIERWSZA.

(Teatr wyobraża pokój bawialny; na fortepianie i na machoniowych stolikach porozrzucane papiery, książki i kapelusze damskie; nieład widoczny).

Piórczyński i Fruzia.

Piórczyński. Kochana Fruziu, czybyś ty ze mną nie mogła dzisiaj pójść na piwo bawarskie, będzie muzyka i iluminacya.

Fruzia. Jeszcze tego potrzeba, abym się z tobą po szynkowniach włóczyła.

Piórczyński (zamyka jej usta). Dziewico, nie bluźnij!... piwo bawarskie nie jest bynajmniej szynkownią; jest to zgromadzenie artystów ca-

łego miasta, którzy, gasząc niewinne pragnienie, budzą w sobie zapał i twórczość.

Fruzia. Raczej powiedz, jest to zgraja piwoszów i próżniaków.

Piórczyński. Fruziu! milcz! bo nie pojmujesz, jak znakomite osoby obrażasz; wiedzieć ci należy, iż pan Błażej Rublewicz także na bawarskie piwo uczęszcza.

Fruzia. Pięknieś się wygadał — to ztamtąd wasza znajomość, dlatego ujmujesz się za panem Rublewiczem, a zbierasz nowinki przeciwko panu hrabiemu; — możeś ty nawet namówił swojego kolegę bawarskiego, aby się starał o naszę pannę hrabinę; — ale, panie Piórczyński, szkoda tego piwa, którém cię Rublewicz częstował, bo mnie, *(patetycznie)* Eufrozynie Dzióbińskiej, pierwéj włosy na dłoni wyrosną, aniżeli Rublewicz będzie mężem panny sędzianki.

Piórczyński. Ja z mojéj strony tyle ci tylko powiadam, że jestem przyjacielem pana Rublewicza i mam przez niego przyrzeczone 6,000 zł. na posag, kiedy od pana Majoneza najwięcej jeżeli stary rajtrok dostaćbym mógł.

Fruzia. To pan Rublewicz rublami drogę sobie ułatwia!

Piórczyński. Tak, rublami — a nie umizgami, i rozumiem, że dla nas lepszym jest pan Rublewicz aniżeli pan Majonez; za umizgi pana hrabiego waćpanna i łokcia merynosu na wyprawę dla siebie nie kupisz; za ruble pana Rublewi-

cza żona Piórczyńskiego urządzi sobie gospodarstwo i wysługiwać się nie będzie.

Fruzia. Wolę stokroć razy służyć, aniżeli sprzedawać ludzi, a zwłaszcza pannę Sabinę, z którą się razem wychowałam, która jest dla mnie tyle dobrą, która serce swoje oddała panu Pantaleonowi Majonez, paniczowi, chociaż ubogiemu ale ładnemu i umiejącemu być dla mnie grzecznym; nie tak, jak pan Błażej, co mi się nawet ani razu nie ukłonił.

Piórczyński. Duby, smalone duby, moja panno Eufrozyno; — dlatego, że się pan hrabia Majonez kłania i umizga, — odrzucać 6,000 złp.! — dla tego, że pan Majonez jest ładny, grzeczny, przeszkadzać pannie Sabinie do najlepszej partyi w całej Warszawie. A wie też panna Dziobińska, że nasz pan sędzia ma więcej długów niż włosów na głowie, że j. w. pan sędzia potrzebuje koniecznie bogatego zięcia, bo on, prócz błogosławieństwa i tytułu sędzianki, nic, ale to co się nazywa nic, córce swojej dać nie może. Procenta od sum hipotecznych nie zapłacone od lat 4-ch; towarzystwu kredytowemu należy się druga rata; podatki skarbowe, dziesięcina, zasługi służącym zalegają; i do tego tutejsi procentowiczowie szczwają go po sądach jak lisa po kniei; kupiec już żaden i funta kawy na kredyt dać nie chce; niektórzy z nich także pozwy przysłali i nie za długo przyjdzie komornik, zabierze te wszystkie mahoniowe sto-

liki, fortepiany, złocone obrazy, powozy, konie; — i na pieszo powędrujemy wszyscy razem do Topolina, żywić się trawą z klombów angielskiego ogrodu, bo w polu nie było czem zasiać; i pytam się, co nam wówczas pomoże pan Majonez, chyba po drodze będzie grał na gitarze, śpiewając aryą z wielkiej opery *Golec;* — albo będzie deklamował najczulsze ustępy z trajedyi *Chudoba, Bieda i Nędza.*

Fruzia. Ale powiedz mi, panie Piórczyński, przecież nasi państwo dają bale, żyją na wielkim świecie, zajmują tak drogie pomieszkanie.

Piórczyński. To wszystko dowodzi, że pan Razinoski bankrut, bo cała wystawność jest na zamydlenie oczów wierzycieli; — waćpanna nie wiesz o tém, że często taki panicz, który się rozwala w kocz ach i na ulicy ludzi roztrąca, grosza niema w kieszeni. Jeżeli nasi państwo nie wydadzą córki za Rublewicza, w kilka miesięcy nie będzie za co i 3-ch funtów wołowiny kupić.

Fruzia. Pan Piórczyński zawsze wszystko liczy na funty, zawsze się tylko o wołowinę i o pieniądze troszczy, a serce, uczucie, za nic nie ma. — Ja się tam zaś u naszych państwa biedy nie lękam; nasza pani ma odebrać sukcesyą po wuju, księdzu biskupie; pan hrabia Majonez dostanie wielki urząd, pan sędzia kupił książki do gospodarstwa, więc i w Topolinie będzie więcej zboża i obejdziemy się bez pana Rublewicza.

Piórczyński. A my?...

Fruzia. Możemy pracować pan Bóg nam dopomoże; a te wszystkie lekkie zarobki, opierające się na frymarczeniu szczęściem ludzkiem, nigdy na dobre nie wyjdą.

Piórczyński. Tymczasem ja będę moje robił.

Fruzia. A ja moje, i zobaczymy, kto zwycięży.

SCENA DRUGA.

Ciż sami i Sędzina Razinoska.

Sędzina (do Piórczyńskiego). Dobrze, że cię tutaj zastaję; powiedz mi, przeczytałeś to nowe dzieło o płodozmiennych zasiewach? — proszę cię, zrób krótki wyciąg, bo sędzia czytać nie lubi; a należałoby podług najnowszéj metody gospodarstwo w Topolinie urządzić. Interesa nasze *podobno* wymagają polepszenia, nie źleby było zwiększyć dochody, iść z postępem czasu, wprowadzić abstrakcyjne działanie na przedmiotowość naszych wypadków i z bezwzględnego stanowiska opłacić długi, ulepszyć stan włościan, zapewnić sobie spokojniejszą przyszłość *(postępując ku widzom)*, aby można bez przeszkód natrętnych wierzycieli zgłębić krainę myśli, zgnieść zapamiętałych stronników berlińskiego mistrza, system mój uświęcić, nadać inny kierunek wychowaniu kobiet, — zniewolić mężczyzn do uznania wiedzy objawionéj, ugiąć ich harde umysły pod nasze stopy, — wywalczyć naszę emancypacyą, przez to uratować jednę połowę

rodu ludzkiego, nawrócić drugą, postawić imię moje na szczycie filozofii, okryć się niepożytą sławą, otoczyć się blaskiem prorokini nieskończonej zgody materyi ciała z materyą ducha!

(Podczas tej patetycznej i w zapale odrecytowanej mowy, Piórczyński zżyma ramionami, Fruzia puka palcem po czole i odchodzi).

(Sędzina obracając się do Piórczyńskiego).

Jakąż więc waćpan czynisz dla nas nadzieję z tych dzieł agronomicznych?

Piórczyński. Jaśnie wielmożna pani, gdyby były pieniądze na zaprowadzenie wskazanej odmiany, porządku, gdybyście j. w. państwo na wieś wrócić raczyli, gdyby się wydatki w Warszawie czynione obróciły na zakupienie żywego inwentarza, maszyn, narzędzi rolniczych, Topolin przyniósłby rocznie do 60,000 złp.

Sędzina. A nie możnaby takiego samego rezultatu sprowadzić przez objaśnienie włościan o powinnościach względem ich pana, o uległości ducha, o pracy, o moralności; — ja napiszę w tym przedmiocie książkę, każę wydrukować i rozdamy pomiędzy chłopów.

Piórczyński. Ale oni czytać nie umieją!

Sędzina. To nic nie szkodzi; — ja im sama, mąż mój, dzieci nasze, czytywać możemy, a i waćpan wolne chwile poświęcisz dobru ludzkości!

Piórczyński. Przepraszam j. w. panią, ale mnie się zdaje, że chłopom nie należałoby czytywać książek; jakby oni poczęli myśleć i rozważać,

gotowiby dwojgiem i trojgiem we żniwa na pańszczyznę nie wychodzić, gotowiby postarać się o zniesienie darmochów, które w Topolinie 3,000 dni przez rok czynią.

Sędzina. Waćpan mnie nie pojmujesz; myśl moja na innéj jest drodze; np. w ościennéj nam prowincyi przez myśl przyszli do tego, że z kartofli robią aksamit.

Piórczyński. Być może; mamy z kartofli mąkę, okowitę, świéce, niechajby był i aksamit; — ale z myśli Maćka, Walka, Bartosza wypędzić stado żywych owiec, stworzyć woły i konie, — na czém nam właśnie zbywa — j. w. pani, to chyba się nie uda.

Sędzina. Waćpan jesteś materyalnym i nie uchwyciłeś jeszcze idei 19-go stulecia, że myśl i rzeczywistość stanowią jedność w obszarach wiedzy. Późniéj to waćpanu wyłożę najzrozumialéj, dzisiaj jestem zajęta odczytaniem krytyki na mój system, skłaniający wiedzę pod objawienie. Uwalniam waćpana.

(Piórczyński kłania się i odchodzi).

SCENA TRZECIA.

Sędzina (zasiada w krześle, bierze do ręki pisma peryodyczne i czyta). «Dzieło pani Razinoskiéj przepełnione jest tak bardzo rażącemi i sprzecznemi pomiędzy sobą niedorzecznościami, że od wszelkich rozbiorów wolném-by być winno, albowiem o ile czynić definicyą głupstwa, o tyle

przypuszczać głupstwo w szranki rozumnych rozpraw, zaszczycać je krytyką, — jest marnotrawieniem czasu i atłasu. — Gdy jednakże kwiecistością stylu pani Razinoska w błąd swój mogłaby wprowadzić młodociane łatwowiernych umysły, nie dla mężczyzn więc, ale wyłącznie dla płci słabéj czynimy tę usługę, że arabskie brednie pani Razinoskiéj po szczególe rozbierzemy». *(Podnosi ręce i oczy do góry).*

SCENA CZWARTA.

(8-mio letnia Horcia wbiega ubrudzona, osmolona, w podartych pończoszkach, — i straszliwie płacze).

Horcia. Mamo! mamo, już dwunasta wybiła, a mnie jeszcze śniadania nie dano, brzuszek mnie boli, nic w ustach nie miałam, a Fruzia jeszcze i pończoszek świeżych dać mi nie chce, powiada, że ja nie mam lepszych pończoszek. *(Pokazuje dziury na pięcie).*

Sędzina. Ach! mon Dieu! przed temi dziećmi... zaraz Horciu... «arabskie brednie»! to nie do zniesienia, — brednie! arabskie brednie! — ale kwiecistego stylu nie mógł mi odmówić. Cóż pisze o moim systemie. *(Czyta)* «Bezwzględne stanowisko»...

Horcia (ciągnie matkę za suknią i wrzeszczy). Mamo! jeść!...

Sędzina. Ja zwaryuję! oto masz śniadanie *(uderza ją w ramię).* Twoją powinnością walczyć z prze-

ciwnościami życia, znosić cierpliwie dolegliwości tak fizyczne jak i moralne. Niedołężne dziecko! nie pojmujesz, ile ja w tę chwilę goryczy doznaję!... a ty, nieczuła córko, o śniadanie się dopominasz!

Horcia (jeszcze głośniej płacze; tupa nóżkami i woła): Jeść! jeść!

Sędzina (chwyta się za głowę, czytając biegnie do stolika, chce schwycić za dzwonek, wywraca i tłucze lampę.

SCENA PIĄTA.

Ciż sami, Sędzia i Fruzia.

(Drzwiami z prawej strony wpada Fruzia, z lewej strony Sędzia w szlafroku surdutowym).

Sędzia. Jak honor piastuję! nie jestem w stanie gazety przeczytać. Cóż to za wrzask?!... właśnie ścigałem z lekką jazdą uciekającego Ab-del-Kadera, zdobyliśmy jego wielbłądy, amunicyą, żywność, — gdy w tej chwili córka moja z płaczem woła! «jeść»! Przez Boga! przecież dzieci Spirydyona Paproć Razinoskiego, dziedzica dóbr Topolina, sędziego pokoju w powiecie, kawalera, na głód się skarżyć nie powinny!

Sędzina. Fruziu? dla czegóż ona *(wskazuje na córkę)* nie jadła? oddałam ci ją pod wyłączną opiekę, powinnaś o niej pamiętać.

Sędzia. Dziecko nie umyte, nie uczesane, w podartych trzewikach, w dziurawych pończoszkach!

Sędzina. Tak, prawda! wina Fruzi jest oczywistą.

Fruzia (z hardością). Ja się na wszystkie strony rozedrzeć nie mogę. — Prasowałam mankietki dla pana sędziego, ubierałam pannę Sabinę, byłam u dentysty po zęby dla j. w. pani.

Sędzina (na stronie). Co to za gęba! *(Głośno).* Ale mogłaś dla tego dać Horci śniadanie.

Fruzia. Ja go nie stworzę; mleczarka na kredyt mleka dawać nie chce, należy jej się 10 złp., a tamtéj dawniejszéj przeszło trzydzieści.

Sędzina. Iżby dziecko umyć, iżby mu świeże dać pończoszki, do tego pieniędzy nie potrzeba.

Fruzia. Właśnie że potrzeba, bo te dwie pary, które jw. pan kupił na Zielone Świątki, dawno się podarły, a babka, pani stolnikowa, już nie żyje, aby dla panienek domowe na drutach robiła pończoszki.

Sędzina. Mężu! istotnie to twoją jest winą; ja się takiemi drobiazgami trudnić nie mogę; wiesz, że ja zajęta nawracaniem umysłów na krzywej ścieżce będących, walczę z hardym rodem mężczyzn, którzy wyższości kobiecego jeniuszu przyznać się wzbraniają; walczę o swobody połowy rodu ludzkiego, o emancypacyą płci mojéj! Wiesz że już obaliłam połączenie wiedzy z rzeczywistością, i jeżeli potrafię odłączyć rozwój podmiotu od zastrzegu indywidualnego przedmiotu, wyjdę zwycięsko!... Dwie tylko okoliczności stają mi na przeszkodzie: dowiedzenie twierdzenia mojego, że filozofia z absolutnego stanowiska nie jest wiedzą, i że byt

(seyen) i istnienie *(existenz)* są w odwrotnym stosunku z negacyą ducha naszego. Dwoistość harmonii i panteizm moich przeciwników musi się tu jasno, oczywiście wykazać.

(Podczas tej mowy Sędziny, Sędzia wiąże Horci fartuszek, poprawia włosów, głaszcze i pieści).

Horcia (z objęcia ojca). Mamo jeść!

SCENA SZÓSTA.

Ciż sami i lokaj.

Lokaj Jan. Pan hrabia Majonez!

Sędzina. Proszę, mężu, *votre toillete*, uspokój Horcię i dopilnuj, aby ją Fruzia ubrała; niechaj do mnie przyjdzie o 1-szej, dam jej lekcyą absolutnego pojęcia powinności kobiet.

(Sędzia biorąc za rękę Horcię i tuląc ją do łona, razem z Fruzią do pokoju na lewo odchodzą).

SCENA SIÓDMA.

Sędzina i Majonez.

(Majonez w blado-kanarkowym rajtroku; włosy długie w puklach, broda, wąsy, faworyty, tak że twarzy mało widać; pantaliony w czerwoną kratkę bardzo buchaste, wysokie u butów obcasy, uzbrojone w ostrogi, pod pachą chapeau claque, w ręku czworogranne szkiełko na weneckim łańcuszku).

Majonez. Madame! je viens złożyć moje uszanowanie *et pour vous communiquer des excellentes nouvelles.*

Sędzina. Bien obligee, Monsieur Pantaleon — cóż nowego?

Majonez. Byłem u jenerałowéj na wieczorze, 30 osób *du haut parage* — przez cały czas o niczém nie mówili, tylko o jenialności pani sędziny.

Sędzina. Czy być może? jenerałowa *c'est un ange,* ona mnie zawsze broni.

Majonez. Nie potrzeba obrony, gdzie nie masz nieprzyjaciela: wszyscy jednogłośnie składali hołd talentom i jeniuszowi pani sędziny.

Sędzina. Byliż i mężczyźni?

Majonez. Większa połowa, *comme a l'ordinaire,* bo jenerałowa nie jest przyjaciółką płci swojéj — *elle prefere disputer avec les hommes.*

Sędzina. I panowie przyznali mi słuszność?!

Majonez. Jak byliśmy razem, wszyscy, wszyscy zgodziliśmy się, że pani jesteś pochodnią naszego stulecia.

Sędzina. Pan jesteś uosobioną dobrocią, *la bonte meme; (ze smutkiem)* ale patrz, co napisano w Poznaniu!

Majonez (przykłada do ócz podany sobie arkusz). Madame! c'est un abominale blaspheme — szorstkość takiego *publicum,* jak jest redakcya tego pisma, nie powinna panią obrażać; — ludzie bez wychowania, niskiego pochodzenia...

Sędzina. Ale jednakże są to ludzie uczeni, doktorzy filozofii z uniwersytetów niemieckich.

Majonez. Dlatego właśnie, że zdania te pochodzą z uniwersytetów niemieckich, nie zasługują na uwagę pani sędziny. Ja także byłem na uniwersytetach niemieckich i wiem, jak oni wszy-

stko zasadzają na knastrze i na piwie, jak ich całe życie zamknięte jest w brudnych ścianach knajpy burszowskiej.

Sędzina (z zadziwieniem). Pan byłeś na uniwersytecie niemieckim?!

Majonez. Na trzech, czterech, pięciu! *(Na stronie).* Wszędzie po kilka godzin w przejeździe do Paryża.

Sędzina. Pan hrabia więc uczęszczał na prelekcye filozofii Hegla w Berlinie!?...

Majonez. Byliśmy z Heglem jak dwaj rodzeni bracia.

Sędzina (z zadziwieniem, w którem się zazdrość przebija). Pan się z nim przyjaźnił!?

Majonez. Dopóki się nie przekonałem, że jest złym człowiekiem.

Sędzina. Powiedz raczej, hrabio, panteistą, bluźniercą, antychrystem...

Majonez. Tak; jednakże ma stronników, którzy jego systemu bronią, twierdząc, że tylko potrzeba założenie i dowody zrozumieć.

Sędzina. Moim uszom nie dowierzam; pan więc przy tak pięknem wychowaniu miałbyś się przechylać na stronę berlińską?

Majonez. Quelle idee?!... ani na chwilę.

Sędzina. Więc pan przyznaje, że um nie potrafi się obejść bez objawienia.

Majonez (na stronie). Nigdym się filozofii nie uczył, nie rozumiem ani słowa. *(Głośno).* Ja zdanie pani zupełnie podzielam.

Sędzina. Ale pan może nie raczyłeś jeszcze pojąć

mojego stanowiska; jest ono oddzielne, od samychże nawet moich stronników zupełnie różne: i tak autor w dziele filozoficznem na pamiątkę swojéj żonie mówi:

Majonez. Excusez Madame! któżto mówi na pamiątkę swojej żonie?

Sędzina. Jakto? pan nie czytałeś Obrazu myśli,— Zasad myśli?

Majonez (na stronie). Zasady myśli!... djable głęboko!

Sędzina. Pan nie zna Floryana z Litwy!?...

Majonez. Floryan z Litwy?! Nie przypominam sobie. W dziejach Litwy czytałem najwięcéj o Witołdzie, którego podobno matkę, Witoloraudę, opisał nam niedawno jakiś pan Kraszewski,—ale także nie miałem jeszcze czasu przeczytać.

Sędzina (uśmiecha się). Pan jesteś uszczypliwym;— istotnie, że niezupełnie *a propos* pisać na Litwie o filozofii, a ja w ogólności dzisiejszéj szkole Litewsko-ukraińsko-wołyńskiéj przyznaję talent do pięknoty dumań na kurhankach, do ukraińskich pieśni, ale filozofii *au profond* jeszcze nie pojęli; — jeden autor Mieszanin, zdaję się, że owładnął myśl absolutną, zbliżającą go do mojéj miłości bliźniego.

Majonez (na stronie). Czy zaraza spadła z tą filozofią! gdzie się obrócę, wszędzie mnie napastują: materya! duch! — nic z tego nie rozumiem, potrzeba mi przynajmniéj nauczyć się technicznych wysłowień — o jakże byłby potrzebnym *un dictionaire de poche philosophique.*

(Głośno i z miną poważną). To samo powiedział i Plato!

Sędzina. Co pan mówisz!? Plato był poganinem, on nie mógł pojąć mojéj zasady.

Majonez. Nic dziwnego, że nie pojął zasad pani sędziny, bo żył lat temu kilkadziesiąt, a może i więcéj; myśli więc pani dobrodziejki pan Plato mieć nie mógł, tak jak pani nie możesz mieć myśli, jakie po nas w sto lat mieć będą. — *(Na stronie).* Jakoś mi się udało, widzę, że i ze mnie z czasem będzie filozof.

Sędzina. Pan ciągle żartujesz, a to się nie godzi; tam, gdzie idzie o najwyższy cel człowieka, potrzeba być zawsze na seryo.

Majonez. Przyznaję się do winy *(udaje czułość)*, ależ pod promieniami czarownego spojrzenia trudno myśl od zmysłowości odłączyć. Pani tak dobrze *wypatruje*, tak jesteś zachwycającą *(całuje podaną sobie rączkę sędziny).*

Sędzina (na stronie). Miałżeby on o moje starać się względy? być może. Sabina jeszcze za młoda, nie ma tak regularnych rysów twarzy, jak są moje, brakuje jéj estetyczności uczuć, których hrabia żąda: nie mylę się, on jest moim wielbicielem *(spogląda ku Majonezowi) il est beau,* — potrzeba się przekonać. *(Głośno).* Pan Pantaleon widział się dzisiaj z Sabinką?...

Majonez. Zdaleka miałem szczęście powiedzieć dzień dobry...

SCENA ÓSMA.

Ciż sami i Sabina (ubrana wedle najświeższej mody).

Sędzina (na stronie). «Zdaleka» rozumiem; ona go nie interesuje, moje go wdzięki zajęły.

Sabina. Bon jour Maman! (Chwyta za rękę Sędziny i potrząsa nią powitalnie).

Sędzina. Bon jour, ma petite:

Majonez (do Sabiny). Pani już dzisiaj używałaś w ogrodzie rannej przechadzki, miałem przyjemność przesłać pani zdaleka «dzień dobry».

(Sabina spogląda na matkę, która zasiadła przy swoim stoliku i zajęła się czytaniem, Majonez daje Sabinie znak tajemny).

Sabina. Czytając rękopism mamy o emancypacyi kobiet, nie spostrzegłam grzeczności pana.

Sędzina. Moje dziecko, dobrze, że się zawczasu zastanawiasz nad mojemi radami, i gdy dorośniesz...

(Sabina spogląda po sobie, chcąc tem wyrazić, że już jest dorosłą; Majonez się uśmiecha).

uznasz, że owoce mej pracy, mojego doświadczenia, nie w jedném przykrém położeniu pomocnemi dla ciebie się staną.

Sabina (całując matkę w ramię). Obym jaknajprędzej mogła korzystać z doświadczenia mamy.

SCENA DZIEWIĄTA.

Ciż sami i Horcia, wprowadzona przez Fruzię. (Zegar bije pierwszą).

Sędzina. Horciu, chodź tutaj, porzuć te zabawki.

(Majonez i Sabina rozmawiają po cichu z Fruzią, która, dając znaki porozumienia, oddala się. Sabina i Majonez siadają na kanapie poza plecami pani Sędziny).

Na czém skończyłyśmy wczorajszą lekcyą?...

Horcia. Jam nie rozumiała, co mama wczoraj mówiła, nie mogę więc pamiętać, na czemeśmy skończyły — uważałam tylko; że mama wzdychała przewracając oczy do góry.

Sędzina. Już wiem! wykładałam ci, że w życiu kobiety same napotkasz cierpienia *(Majonez całuje Sabinę),* że najwięksi nieprzyjaciele płci naszej, mężczyźni *(Pantaleon powtarza całus),* wszędzie cię dręczyć i prześladować nigdy nie przestaną *(Majonez wyjmuje wielką szpilkę z krawatki i udaje, że Sabinę przebić chce),* dla tego winnaś ich nienawidzić, niecierpieć, brzydzić się nimi.

(Sabina otrząsa się, udając obrzydzenie, lecz w tę chwilę podaje rękę do pocałowania Majonezowi).

Horcia. Więc i tatkę mam nienawidzić i brzydzić się nim?... Gdyby nie tatka, nie byłabym jadła śniadania.

Sędzina. Tutaj jest wyjątek i jeszcze inne są wyjątki; ja, mówiąc w ogólności, biorę rzecz tę ze stanowiska absolutnego, jakie każda kobieta za podstawę czynności swoich uważać ma.

(Sabina uśmiecha się i bije palcem o palec, chcąc przez to powiedzieć „dobrze, dobrze, będę o tem pamiętała". Majonez grozi na nosie Sędzinie).

Bywają wypadki, gdzie samowola córki względem ojca jest konieczną, bo kobieta nigdy ślepo mężczyźnie ulegać nie powinna; wolno jest udawać posłuszeństwo, ale zachowując pozór przyzwoitości, niechaj zawsze idzie za popędem swojego serca.

(Sabina cicho klaszcze w dłoń; Majonez ją całuje, Sędzina się obraca i z przerażeniem spostrzega całusy dane Sabinie).

Panie hrabio!... *Sabine retirez vous...* Mogłamżeż się spodziewać, aby pan Pantaleon w mojéj obecności ubliżał płci naszéj! aby pan hrabia obrażał strojność uczuć matki i córki? — o! to są skutki berlińskiéj filozofii! — Pan ich się zapierałeś przed chwilą, bo zwykłą chytrością mężczyzn żywiłeś w sercu niecne zamiary *(Sabina zawstydzona odchodzi).* Tak, miałeś pan zamiary względem mnie, ale widząc, że jestem *nieugiętą* w zasadach *(Majonez porusza ramionami),* zwróciłeś zmysłowość swoję na niewinne dziecko moje.

SCENA DZIESIĄTA.

Ciż sami i Rublewiczowa, Rublewicz ojciec i Rublewicz syn, Błażej.

(Ubiór całéj rodziny Rublewiczów jest bardzo bogaty i przeciążony brylantami u pani Rublewiczowej, łańcuchami na szyi u mężczyzn).

Rublewicz. Ponieważ nie zastaliśmy w przedpokoju kamerdynera j. w. państwa sędziostwa dobro-

dziejstwa, wchodzimy więc bez meldowania się. Czy wolno złożyć nasze uszanowanie!

Sędzina. Proszę, bardzo proszę.

(Horcia ucieka do swojego pokoju, Majonez sie oddala).

Rublewiczowa. Koło u naszéj nowéj karety zepsuło się, a mieszkając w sąsiedztwie j. w. państwa sędziostwa dobrodziejstwa, ośmielamy się pieszo dopełnić naszéj powinności: *(wskazując na Błażeja)* mój syn Błażéj.

Sędzina. Mieliśmy już tę przyjemność widzenia pana Błażeja w domu naszym.

Rublewiczowa. Pani sędzina prawdziwie czyni nam zaszczyt, że naszę wizytę bez meldowania przyjąć łaskawie raczyła.

Sędzina. Oh Madame!

Rublewicz. Państwo bardzo pięknie mieszkają.

Sędzina. W porównaniu z Topolinem, gdzie mamy pałac, to nie koniecznie.

Rublewicz. Państwo sędziostwo dobrodziejstwo płacą podobno 9,000 złp.

Sędzina. Nie umiem tego panu powiedzieć, bo to tam sekretarz nasz, z polecenia mojego męża, trudni się takiemi kontraktami.

Błażej (ocierając kurz z obrazów, kiwa na ojca i pokazuje mu).

Rublewicz. Malatura ta warta jest 500 złp., pendzel Rafaela.

Błażej. JW. państwo zapewno ten obraz we Włoszech kupili?...

Sędzina. Nie, to jest po naszych przodkach, mój stryj szambelan zapisał mi testamentem.

SCENA JEDENASTA.

Ciż sami i Sędzia. (Rublewiczowa powstaje, Sędzia całuje ją w rękę; z ojcem i z synem wita się przyjaźnie).

Sędzia. Pan dobrodziej przybyłeś po procent Ś-to-Jański od sumy, na Topolinie, którą, jak się dowiedziałem, nabyć raczyłeś od pana Kutwickiego.

Rublewicz. Bynajmniej, panie sędzio! nabyłem wprawdzie rzeczoną sumkę na Topolinie, ale żądanie procentu nie jest celem naszej wizyty.

Sędzia. Słyszałem, że pan dobrodziej życzysz sobie kupić Topolin; ale my nie mamy wyraźnej chęci pozbycia się tego majątku, w którym od 400 lat z górą! wszyscy Razinoscy się rodzą, gdzie tylu pradziadów spoczywa.

SCENA DWUNASTA.

Ciż sami i panna Sabina.

(Rublewiczowie powstają, panna się kłania).

Sędzina. Prezentuję państwu moję starszą córkę Sabinę.

(Znów ukłony. Sabina siada na taborecie).

Rublewicz. Powinszować można państwu sędziostwu tak dorodnej córki.

(Sabina się uśmiecha, pani Rublewicz siedząc kłania się pochyleniem pani Sędzinie, taż nawzajem kłania się Rublewiczowej, Błażej kłania się pannie Sabinie, stary

Rublewicz kłania się Sędziemu; Sędzia ukłonem dziękuje, — milczenie trwa małą chwilkę).

Rublewiczowa. Powietrze mamy od dni kilku bardzo piękne.

Sędzina. Istotnie, że *aura* jest prześliczna.

Rublewicz. W dobrach państwa dobrodziejstwa zboże zapewne dobrze w polu stoi.

Sędzia. Z łaski Boga na urodzaje skarżyć się nie możemy.

Rublewiczowa. I myśmy także kupili dobra Mieszków za Suwałkami.

Sędzina. Daleko od stolicy.

Rublewicz. Uwięziłem znaczną sumę na Mieszkowie, a gdy od kilku lat pan jenerałowicz ani procentu nie opłacał ani o oddaniu kapitału nie myślał, wystawiliśmy dobra na licytacyę — i gdy nie było konkurentów, musieliśmy się utrzymać.

Rublewiczowa. Mój mąż przedsięwziął teraz z każdym tak sobie postąpić jak z panem jenerałowiczem, bo tą cierpliwością nic wskórać nie mógł.

(Sędziostwo spojrzeli po sobie).

Rublewicz. Racz mnie pan sędzia objaśnić, czyli dobra w Augustowskiem przy porządnem gospodarstwie przyniosą dziesięć procent od kapitału zwykłej ceny, to jest, kupując włókę chełmińską za 2000 złp.

Sędzia (pomięszany). Już jabym Topolina po 2000 złp. włóki nie sprzedał.

Rublewicz. Wierzę, blisko Warszawy, gleba zapewne pszenna; ale ja mówię o dobrach w Augustowskiém.

Sędzia. Dobra ziemskie w każdéj okolicy mogą przynieść 10 procent, jeżeli są w ręku obywatela sprężystego względem poddanych.

Sędzina. Myśmy teraz zakupili dzieło agronomiczne.

Rublewicz (spogląda na syna). Jużto ja mam się kim wyręczyć.

Błażej. Zapomniałem papie powiedzieć, że surowo ukarałem jednego chłopa w Mieszkowie.

Sabina. I pan mogłeś być tak okrutnym?

Sędzia. Wymierzyć sprawiedliwość nie jest okrucieństwem; zapewne zasłużył na karę.

Błażej. Widzicie państwo, chłop ten pobił żonę swoję za to, że się w karczmie bez jego pozwolenia upiła; ja więc tego ścierpieć nie mogłem, aby w dobrach naszych, kobiet nie szanowano.

Sędzina (z ukontentowaniem). Czy pan słuchał filozofii?

Rublewicz (mniemając, że to zapytanie jest przymówką). Młody, zbyt porywczo sobie postąpił...

Sędzina. Owszem ja uwielbiam pana Błażeja, że się ujął za płcią naszą, i chociaż chłopkę w bezwzględném stanowisku umieszczać nie można, ale zawsze w czynie pana Błażeja znajduję dowód jego wiedzy, skierowanej bezpośrednio do emancypacyi kobiet, — i prawdziwie czułabym

się niewymownie szczęśliwą, aby mój mąż był podobném uczuciem przejęty.

Rublewiczowa. Państwo dobrodziejstwo jeszcze o losie panny Sabiny nie postanowili?... pan hrabia Majonez czy często bywa w domu państwa dobrodziejstwa?

Sędzina. Dzisiaj był po raz ostatni. Filozofia jego jest berlińską. Wiadomo pani zapewne, że ci panowie nie przyznają objawu i um biorą za siłę twórczości, na co ja w żaden sposób zgodzić się nie mogę.

(Sędzia niecierpliwi się widocznie).

Sabina. Jeżeli uważają rzecz ze stanowiska emancypacyi; *(do Rublewiczowej)* jakżesz pani sądzisz?...

Rublewiczowa. Mąż mój starał się o dzierżawę konsumpcyi, ale spóźnił się ze złożeniem vadium, dlatego nie wiemy, co się dzieje w konsumpcyi.

(Sędzina zakryła twarz chustką, Sabina wstrzymuje się od uśmiechu).

Rublewicz (do żony). Kochanko! panna sędzianka mówiła o emancypacyi kobiet, to jest o usunięciu kobiet z pod zwierzchnictwa mężczyzn,— rzecz niepodobna, przecież projektować wolno;— konsumpcya to znów co innego.

Sędzia. Moja żona marzy zawsze, — zwyczajnie kobieta uczona...

Błażej (do Sabiny). Pani grywasz na fortepianie? pani śpiewasz? czy pani dzisiaj już śpiewała?...

Sędzia. Sabinko! zagraj państwu.

Rublewiczowa. Bardzo prosimy.

(Sabina na dany znak ojca powstaje, siada przy fortepianie i gra galopadę; fortepian odstrojony).

Błażej (podryguje, zagląda z tyłu w nuty, biegnie do matki). Mamulu! niech tylko mamula uważa, jak ona temi paluszkami przebiera. *(Do ojca).* Niech tylko papa patrzy, jak ona ślicznie gra.

(Sabina przestaje grać i wstaje od fortepianu; cała familia Rublewiczów dziękuje ukłonem, a Błażej całuje rękę panny Sabiny).

Rublewicz (do Sędziostwa). Państwo jesteście bardzo szczęśliwi, mając tyle utalentowaną córkę.

(Sędzia się kłania).

Rublewiczowa (podnosi sie z kanapy i żegna sie z Sędziną). Bardzo nam miło, żeśmy dopełnili naszej powinności.

Sędzina. Wdzięczni tylko państwu dobrodziejstwu być możemy.

Rublewicz. Polecam się życzliwéj pamięci pana sędziego.

Sędzia. Skoro tylko wełnę sprzedam, pospieszę się z uiszczeniem procentu.

Rublewicz. Pan sędzia nie jesteś łaskaw mnie zrozumieć.

Sędzia. Jużto co do kapitału, raczy pan dobrodziéj aż do przyszłego ś. Jana być cierpliwym; w tym roku poniosłem klęskę w inwentarzu, w przeszłym roku grad mi wybił.

Rublewicz. Panie sędzio! ani o procent ani o kapitał nie upominam się, względom tylko j. w.

państwa polecam syna mojego *(Błażej i matka kłaniają się)*, aby mu wolno było uczęszczać w dom j. w. państwa i skarbić sobie ich łaskę.

(Rublewiczowa się kłania, Błażej całuje rękę Sędzianki).

Sędzia (do Błażeja). Zawsze pan Błażej mile u nas jest widzianym, i w każdym razie zechce się do uczuć przyjaznych Razinoskiego z ufnością odezwać.

Rublewicz. Trzymam pana sędziego za słowo.

(Całuje rączki pani Sędziny i panny Sędzianki, Błażej tuż za ojcem, niemal odpychając ojca, całuje także rączki pani Sędziny i panny Sędzianki, w zapomnieniu całuje i ręce swojej matki Rublewiczowej).

(Wszyscy w niezliczonych ukłonach toczą się ku głównym drzwiom).

Zasłona spada.

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT II.

Teatr wyobraża pięknie umeblowany pokój, mieszkanie Rublewiczów.

SCENA PIERWSZA.

Rublewicz i Rublewiczowa.

Rublewiczowa. Mój mężu, Błażej mnie znów dzisiaj prosił, abyśmy go o rękę panny Sędzianki oświadczyli; mówił nawet w tej mierze z sekretarzem pana Razinoskiego, który najlepsze

robi mu nadzieje. Potrzeba to albo tak albo siak ukończyć, bo chłopiec zmizerniał, martwi się i chodzi jak bez głowy. Powiadał mi, że będąc wczoraj u państwa Razinoskich, bardzo wiele z panną Sabiną rozmawiał, i zdaje mu się, że go kocha. Ale ja tam z tego i nie bardzo się cieszę.

Rublewicz. A to dla czego?...

Rublewiczowa. Oni tacy dumni; uważałeś, że nam się dzisiaj na ulicy ledwo odkłonili.

Rublewicz. No, no, jak ja im dam pieniędzy, to się oni już będą kłaniać. Zresztą pomówimy o tém z doktorem, prosiłem go, aby był u mnie o godzinie dziesiątéj.

SCENA DRUGA.

(Ciż sami i Dr. Piguła).

Rublewicz. O wilku mowa, a tu i wilk.

Dr. Piguła. Kazaliście państwo być na 10-tą, a więc przyjeżdżam, lecz na kilka minut tylko, bo wpół do jedenastéj mam *consilium* na *Nowym Świecie;* jakiś bogaty pan żąda, aby nas pięciu doktorów podpisało mu paszport na tamten świat.

Rublewicz. Czémżeż pozwolisz sobie służyć, czy kieliszkiem reńskiego wina, czy szklaneczką angielskiego piwa.

Dr. Piguła. Jeżeli reńskie wino jest to samo, cośmy pili u pana Ludwika, dawaj, Rubelku reńskiego chociaż i piwo angielskie o godzinie 10-téj bardzo zdrowiu pomaga.

Rublewicz. A więc angielskiego?...

Dr. Piguła. Mnie wszystko jedno: — a jeżeli z brzegu reńskie wino stoi — to samo, cośmy pili u pana Ludwika, — zdrowiéj pewno będzie reńskiego.

Rublewicz (do żony). Niechże matka przyśle nam butelkę reńskiego i jaką przekąskę; a proszę cię, kochanie, nie każ nikogo do mnie wpuszczać, mam z doktorem do pomówienia.

Rublewiczowa. Dobrze, dobrze, tylko stanowczo ukończcie interes *(odchodzi).*

SCENA TRZECIA.

Dr. Piguła i Rublewicz.

Dr. Piguła. Co za interes? czy chcesz sto tysięcy wypożyczyć? czy piąty dom kupujesz? czy mnie też przypuszczasz do jakiego przedsiębiorstwa?..

Rublewicz. Siadaj, szanowny panie i posłuchaj mnie. *(Siadają obadwaj w wygodnych krzesłach).* Wiadomo ci, że syn nasz Błażej bywa u Razinoskich.

Dr. Piguła. I że się umizga pannie Sabinie, i że chciałby się z nią żenić, i że nie wiecie, jak sobie począć w téj mierze.

Rublewicz. Dlatego, znając twoję dla nas życzliwość i wiedząc, że się z Razinoskiemi przyjaźnisz, chciałem od ciebie zasięgnąć rady.

(Służąca wnosi na tacy długo-szyjną butelkę wina, dwa kieliszki, talerz z minogami, widelce, noże, ser-

wety, pieprz, oliwę i bułeczki montowe; stawia na stoliku i odchodzi).

Dr. Piguła. Jestto interes, potrzebujący obszernego rozbioru *(patrzy na zegarek)*, wszakże można go i w krótkości wysłowić.

Rublewicz (nalewa wino, kraje minogi). Bądź łaskaw, doktorze, wypić wprzódy kieliszeczek.

Dr. Piguła. Czy to jest to samo, cośmy pili u pana Ludwika?

Rublewicz. Nie to samo, ale o wiele lepsze. Wojciech, pożyczając odemnie pieniędzy na podróż do Węgier, przesłał mi sześć butelek; wypiliśmy wczoraj z radcą prawnym dwie buteleczki i radca zapewnia, że jest prawdziwy *Cabinets Schloss Johannisberger* z roku 1822.

Dr. Piguła (wypił kieliszek). Otóż to mi kieliszek wina! powiem ci w sekrecie — lepszy od wszystkich recept, jakie kiedykolwiek zapisałem.

Rublewicz (nalewając drugi kieliszek). Szczerze się cieszę, że trafiłem do smaku; doktorze! minogów...

Dr. Piguła. Zdają się być świeże; *(zajada)*, powiedz mi, panie Stefanie, czy wy sobie tego życzycie, aby się Błażej ożenił z sędzianką.

Rublewicz. Ha!... kiedy ją sobie upodobał.

Dr. Piguła (popija wino). Ale czyś rozważył wszystkie niewłaściwości takiego związku.

Rublewicz. Że niby Razinoscy pochodzą z wielkiej familii?...

Dr. Piguła. Z wielkiej czy nie z wielkiej, ale że

mają straszliwe długi, a ich majątek, — mówiąc pomiędzy nami, — jest na skonaniu.

Rublewicz. Jużbym ja to temu skonaniu zaradził. — Topolin wart brat bratu 500,000, dałoby się nawet z wierzycielami poczynić korzystne układy; zresztą chociażby i majątku nie było, ale zawsze miło połączyć się z familią, mającą pewne znaczenie, wpływy, piękne koligacye, — przecież człowiek na to zbierał, aby stan dzieci podwyższyć i uświetnić.

Dr. Piguła (nalewa sobie czwarty kieliszek). Panie Stefanie! mówię szczerze i otwarcie; jestem temu zupełnie przeciwny, aby się cisnąć do towarzystw arystokratycznych: uwłaczamy sobie przez to nadzwyczajnie, a uświęcamy ich najnędzniejsze przesądy. Skarżymy się na ich arystokracyą, a wszakżesz, gdybyśmy się do nich nie pięli, gdybyśmy tém samém naszéj godności nie ubliżali, — ten tak gęsty dym zrzedniałby bardzo. Pośród obywateli miasta Warszawy znajdujesz każdego równym sobie, pośród familii Razinoskich będą zawsze na ciebie patrzyli z góry, i często doznasz od nich cierpkiego za swoje pieniądze upokorzenia.

Rublewicz. Razinoski jest zawsze dla mnie szczególniej grzeczny.

Dr. Piguła. Nie dla ciebie, ale dla twoich pieniędzy. Gdybyś jutro zbankrutował, jutro zamknięto by drzwi przed panem Błażejem, a pan Paproć Razinoski nie zarumieniłby się nazywać

cię «asan», albo «mój Rublewiczu», albo «mój przyjacielu», to znaczy: mój fagasie, mój butlusiu, mój pachołku.

Rublewicz. Ale że ja nie zbankrutuję, więc nie mam przyczyny obawiać się takich tytułów, i przeciwnie, jak na hipotekę Topolina 300,000 umieszczę, mogę być pewnym, że Razinoscy zawsze grzecznymi pozostaną.

Dr. Piguła (nalewając sobie szósty kieliszek). Jak sobie pościelesz, tak się i wyśpisz; co do mnie, radzę odstąpić od tego zamiaru; — ale róbcie jak chcecie.

Rublewicz. Otóż chciałem cię prosić, abyś w południe chciał być u państwa Razinoskich i wymiarkował, czy możemy dzisiaj oświadczyć naszego syna, czy też jeszcze się wstrzymać.

Dr. Piguła. Stanie się, panie Stefanie, twojéj woli zadosyć, będę u was z odpowiedzią o godzinie 2-giéj, teraz żegnam cię, bo już jedenasta wybiła *(dopija resztę z szóstego kieliszka, całuje się z Rublewiczem i odchodzi).*

Rublewicz (odprowadziwszy do drzwi, mówi na progu). Czekamy więc o drugiéj.

Zmieniają się dekoracye.

(Teatr wyobraża pokój sędziego Razinoskiego).

SCENA CZWARTA.

Razinoski, Piórczyński i Jankiel.

(Sędzia chodzi w zamyśleniu; — Jankiel stoi przy

drzwiach z czapką na ziemi leżącą; Piórczyński pod światło przycina pióro).

Sędzia. Pisz waćpan.

Piórczyński (macza pióro, zasiada do stolika i słucha z roztwartą gębą).

Sędzia (dyktuje). Wielmożny mości dobrodzieju! wykrzyknik.

Piórczyński (kończąc pisanie, zawsze winien powtarzać ostatni wyraz). Dobrodzieju! wykrzyknik.

Sędzia. Odezwa wielmożnego pana dobrodzieja,

Piórczyński. dobrodzieja.

Sędzia. w której wielmożny pan dobrodziej,

Piórczyński. dobrodziej.

Sędzia. z nagłością niewłaściwą wielmożnemu panu dobrodziejowi,

Piórczyński. dobrodziejowi.

Sędzia. wypłaty kapitału żądasz,

Piórczyński. żądasz.

Sędzia. przekonywa mnie, że wielmożny pan dobrodziej,

Piórczyński. dobrodziej.

Sędzia. w istotnej jest potrzebie.

Piórczyński. potrzebie. Kropka.

Sędzia. Pozwól przecież w. m. pan dobrodziej,

Piórczyński. dobrodziej.

Sędzia. że prosić będę w. m. dobrodzieja,

Piórczyński. dobrodzieja.

Sędzia. abyś cierpliwym być raczył,

Piórczyński. raczył.

Sędzia. do roku przyszłego,

Piórczyński. do roku 1845.

Sędzia. Cóż waćpan *koncypujesz,* dyktowałem do roku przyszłego.

Piórczyński. A toć ja też napisałem *(zagląda na papier)* do roku 1845.

Sędzia. Rok przyszły jest *futurum* nieoznaczone, rok zaś 1845 jest termin oznaczony. Waćpan od trzech lat w moich usługach i jeszcze nowicyuszem jesteś.

(Jankiel klaska i pokazuje na głowę).

Piórczyński (skrobie scyzorykiem). do roku przyszłego.

Sędzia. Kropka i kreska poprzeczna.

Piórczyński. Jest.

Sędzia. Donoszę bowiem w. m. panu dobrodziejowi,

Piórczyński. dobrodziejowi.

Sędzia. czemu w. p. dobrodziej zawierzyć raczysz,

Piórczyński (na stronie). Głupiby był, żeby wierzył *(głośno)* — raczysz!

Sędzia. że *(namyśla się).*

Piórczyński. że *(Piórczyński liczy na papierze: 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, i mówi po cichu):* musiałby też mieć serce z granitu, gdyby czekać nie chciał.

Sędzia. Że po doznanej klęsce w inwentarzu,

Piórczyński. W inwentarzu.

Sędzia. Po ogólnym w dobrach moich nieurodzaju,

Piórczyński. nieurodzaju.

Sędzia. gradobiciu, suszy i ustawicznych deszczach,

Piórczyński. suszy i ustawicznych deszczach.

Sędzia. nateraz,

Piórczyński. nateraz, *(na stronie)* przy takiém gospodarstwie i na zawsze.
Sędzia. wypłata kapitału staje się dla mnie niepodobieństwem.
Piórczyński. niepodobieństwem.
Sędzia. Kropka i wykrzyknik.
Piórczyński. Wykrzyknik.
Sędzia. Przy téj sposobności,
Piórczyński (po cichu). Piękna sposobność!
Sędzia. zechce się w. m. pan dobrodziej zapewnić,
Piórczyński. zapewnić *(na osobnej karteczce dopisuje kreskę.*
Sędzia. że jestem w. m. pana dobrodzieja
Piórczyński. dobrodzieja *(pisze jedenastą kreskę)*
Sędzia. i jwm. pani dobrodziejki
Piórczyński (skrobiąc się po głowie, mówi na stronie). Trzeba drugą tabelę dla płci żeńskiej założyć. *(Głośno)* dobrodziejki.
Sędzia. wraz z żoną moją
Piórczyński. moją.
Sędzia. Ogonek, ustęp, — najniższy sługa, — kropka.
Piórczyński. Jest.
Sędzia. Warszawa dnia 20 czerwca. *(Odbiera Piórczyńskiemu pióro i pisze głośno wymawiając):* Razinoski, Sędzia pokoju, dziedzic dóbr Topolina z przyległościami.
Piórczyński (robi kopertę i pieczętuje).
Sędzia. Cały tydzień te przebrzydłe korespondencye, głowy już na karku nie czuję. Napisz waćpan adres: «Wielmożnemu Czmuchowskiemu,

posesorowi dóbr Jemioły, w. m. panu i dobrodziejowi».

Jankiel (zbliża się). Z przeproszeniem j. w. pana.

Sędzia. Cóż mi powiesz nowego, mój Jankielku.

Jankiel. Nic nowego, bez uraze pańskie stare rzeczy. Pinkus upomina się o dostawę okowity; Lilienheim koniecznie żąda mieć wypłatę na 1-go lipca; z Kałuszyna żydzi także nie chcą czekać; — w domu bieda na przedeżniwku, ludzie nie mają co jeść, z obwodu pełno kozaków we wsi, owsa nie ma do siewu, całe pole od Zasiadały odłogiem leży, chłopi nie mają za co pić, — bieda, *wielga* bieda. *(Drapie się po głowie).*

Sędzia. Przywiozłeś pieniądze *z pachtu?*

Jankiel. Przywiozłem kwitki: krowy nie chcą doić, niema trawy, wielgie ścisk o letniego pastwiska w naszym Topolinie.

(wydobywa z kieszeni spory pęk brudnych papierów i kładzie na stół).

Sędzia. Jakto krowy nie chcą doić? przecież mamy rok przekropny, grunta są dolne, na letnią paszę nie powinieneś się skarżyć.

Jankiel. Właśnie tego że dolne, wsistko wymokło, a i od dawnego czasu deszczu ani kropli nie było; nadto jesce pan ekonom bardzo sobie pozwala sąsiednim wioskom pasać konie, bydło i owiec na całym Topolinie; — zkąd się ma wziąść trawa?... Nasze dworskie krowy ledwo że łażą, tego płowe i trzech graniaste wcale dorznąć musieli *(liczy koprowiną 18 złp.).*

Sędzia (przegląda kwitki, zgarnia pieniądze, ociera rękę chustką i mówi z zasmuceniem). Potrzeba mi coś stanowczego uczynić.

Jankiel. Z przeproszeniem j. w. pana słyszałem, że nasza panna Sabinka wyjdzie za mąż za pana Rublewicza, reicher Poryc; — jegomość przy téj okazyi się podeprze, bo najgorzéj ze starym Rublewiczem zrobi krewieństwo, to już o pieniądze nie będzie kłopotów.

Sędzia. Tak, byłoby to nieźle; Rublewiczowie są bardzo bogaci, ale moja żona, widzisz, mój Janklu — uważa na urodzenie.

Jankiel. Na urodzenie?... przecie jesce czas po tego.

Sędzia. Widzisz, mój Janklu... Rublewicz nie jest szlachcicem.

Jankiel. Po co, dla czego nie ma być szlachcicem?...

Sędzia. Bo nim nie jest.

Jankiel. Jakto nie jest szlachcicem? takie bogate człowiek? ma swoje wioski, kamieniców, wszelkiego dostatek i owszem kapitały u bardzo wielu szlachty.

Piórczyński (trąca Jankla i wskazuje mu na migi, aby dalej mówił).

Jankiel (ośmielony). Pana Rublewicza brat rodzone takoż ma znaczenie. Był kasyerem w Wyszkowie przez siedm roków, teraz trzyma propinacye w jedenastu miasteczkach, ma swoje własne gorzelniane statki i podobno chce kupić znacznych dobrów.

Sędzia. Właśnie to, że cała ich familia trudni się propinacyami.

Jankiel. Przepraszam j. w. pana, a to teraz największe panowie koło wódki chodzą: dawniej się żydzi trudnili propinacyą — i było bardzo dobrze! dzisiaj szlachta sami chcą profitować — ja już nie wiem, jak to dalej będzie z tymi żydami, wszystko nam zakazują.

Sędzia. Tylko nie szachrować.

Jankiel. Nie bardzo można i pod te czasy szachrować; chłop jucha mądre, szlachcic mędrsze od żyda, a w dużych miastach wszyscy jak żydzi, tylko jesce ci wielcy panowie, którzy mają długów, to dadzą zarobek.

Sędzia. Powiedz mi, nie wiesz tam kogo na wsi, coby pożyczył pieniędzy; Warszawa małe miasteczko, obnieśli się pomiędzy sobą i ani grosza żaden dać nie chce.

Jankiel. Proszę j. w. pana *richtig* u nas tak samo; wspomnieć któremu kupcowi na 6 mil wokoło, że pan sędzia Razinoski życze mieć pieniądze, to zaraz nakręci czapkę na ucho i nic nie odpowiedziawszy idzie sobie precz.

Piórczyński (zbliża się). Jaśnie wielmożny panie, słyszałem na mieście, że pan Rublewicz synowi swojemu w razie, gdyby się żenił, odda Mieszków i 300,000 złp. gotowizną.

Jankiel. 300,000! aj! waj!... Niechby jegomości od zięcia połowę pożyczył, jakiby to można długie czas paradę robić, i długów niektóre po-

płacić, co pilniejsze u żydów, i byłoby znów wszelkie dogodności i reputacye.

Sędzia. Reputacya nie osobliwsza, gdybym moję córkę wydał za syna byłego fabrykanta świec.

Jankiel. Cóż to złego fabrykant świec? przecie szlachtą każdy być nie może, potrzebne dla ludzi i świece; — nadto my wszyscy fabrykanci: ja fabrykuję mleko: j. w. pan zboże; nasz pan podsędek fabrykuje sprawiedliwość; szewc fabrykuje trzewiki; kupiec od korzenia fabrykuje wino; jest takich wiele co fabrykują pieniądze, sumienie, i różnych okoliczności, — o czém i mówić się nie godzi. Albo to mało takich panów, co grosza majątku nie mieli, a posiedziawszy kilka lat na urzędowaniu, sfabrykowali sobie ładnych dobrów, kamieniców, a co mądrzejsi kapitałów do kieszeni *(na teatr)*, aj! waj! ja was znam wszystkich poczciwych! *(obracając się do sędziego)* zwyczajnie na świecie złodziei nigdy nie brakuje; zresztą, pan Rublewicz był dawniéj niskim człowiekiem, ale teraz jest *(kląska)* na *bardzo wysokim* stopniu.

Sędzia. Ale ludzie pamiętają, czém kto był.

Jankiel. Przepraszam, wcale nie pamiętają; ja siedziałem w kryminale za kradzież koni i byłem złodziej, — a teraz z łaski j. w. pana jestem sobie bardzo uczciwe pachciarz w Topolinie. Kiedy się jeno kto chce poprawić, to mu pewnie pan Bóg nie zagrodzi. — Jaśnie wielmożny pan też się może poprawić, tylko nie trzeba zwló-

czyć z panną sędzianką, i kiedy Rublewicz pożąduje, dać mu ją bez żadnéj sprzeczki; — należy się do ciasów stosować, bo j. w. pan świata nie przerobi, i tytułem ani swoją godnością długów nie zapłaci.

SCENA PIĄTA.

Ciż sami i Jan lokaj.

Jan (lokaj). Pan Lichwiarski!

Sędzia. Powiedz, że jestem zatrudniony, chory, albo, że mnie w domu nie ma. *(Lokaj odchodzi).*

Sędzia. Upomina się o procent od procentu, zdarł mnie jak najgorszy żyd.

Jankiel. Albo to żyd ma być najgorszy?! Ja tutaj mieszkałem na Grzybowie przez trzynaście roki i wiem, że w Warszawie są panowie gorsi od wszystkich żydów razem. Ten Lichwiarski, co chciał przyjść do j. w. pana, on mnie raz pożyczał na fant 18 dukatów, i przez jeden rok odebrał odemnie samego procentu ziewięć dukatów równusieńkie, i kiedy mnie wedle tych koni wsadzili do prochowni, on ten fant mojéj żonie perły i zauszniczków, co były warte najmniej 40 dukatów, kazał przerobić na ślub do swojéj córki, — a jakem mu się potem upominał o moje rzeczy, wypchnął mnie za drzwi i skarżyć się kazał. Takich panów, co krzywdą żydowską żyją, co urzędników, szlachtów, rzemieślniczych ludzi i młodych paniczów ze skóry obdzierają, toby w sto kamienice nie zmieścił. —

W swoim pokoju takie jest bezczelne i nielitościwe na nędze ludzkie, że aż płakać potrzeba, — a jak wyjdzie na miasto, bardzo uczciwe człowiek, chodzi do kościoła, modli się, — zostaje na wielkiem poszanowaniu w swoim pięknym płaszczu, każdy mu się kłania, — a jabym mu w oczy plunął, kiedy on taki *(z zaperzeniem i ze złością)* zdzierca, *(prędko)* złodziej, krzywdziciel, procesownik, fanciarz, rabuśnik — *(oddycha)* juche!

SCENA SZÓSTA.

Ciż sami i Jan lokaj.

Lokaj Jan. Krawiec damski przyniósł rachunek.

Sędzia. Powiedz, iżby przyszedł za tydzień.

Lokaj. On nie myśli odejść; mówi, że już buty podarł.

Sędzia. Powiedz, żem wyjechał na miasto.

Lokaj. Chce czekać, chociażby cały dzień.

Sędzia. Masz oto 18 złp., daj mu *à conto,* niechaj będzie grzeczny, przecież zawsze u niego daje się robić. *(Lokaj odchodzi).*

Jankiel. Jak uważam j. w. pan masz także dużo nieprzyjemnościów; my w Topolinie myślimy, że się j. w. państwo tu bardzo dobrze zabawią, a w Warszawie jest także łamanine głowy, — ale wszystko niepotrzebne, Rublewicz onby już to uprzątnął.

Sędzia. Przecież ja mu córki do domu nie zawiozę; był tu kilka razy, przed 4-ma tygodniami byli

rodzice; zdaje się, iż mu się podoba, — ale się jeszcze nie oświadczył: ja z mojéj strony zezwolę, byle tylko zechciał mi pożyczyć chociaż 100,000 złp.

Piórczyński. Powiadał mi wczoraj pan Błażéj, że dzisiaj mają go rodzice formalnie oświadczyć, a co się tyczy pożyczki, już w téj mierze bądź j. w. pan łaskaw mi zawierzyć, że tak ojciec jak i syn nie są od tego, i chętnie...

Sędzia. Jakto, waćpanbyś śmiał mówić o moich interesach?...

Piórczyński. Jam nie mówił, tylko powiadałem, że j. w. państwo mają odebrać spadek po najdłuższém życiu księdza biskupa, który jest już w wieku i zawsze słabowity, — że są wszelkie pewne, uzasadnione nadzieje do najpomyślniejszéj przyszłości.

Sędzia (na stronie). Chyba na tamtym świecie.

Piórczyński. Ale że teraz wypada j. w. panu mieć 150,000 złp. z umiarkowanym procentem na uporządkowanie swoich interesów; a pan Rublewicz wyrzekł mi na to, iż się w téj mierze rozmówi z panem doktorem Pigułą, który podobno z polecenia j. w. pana już tam coś rozpoczął; — pan Rublewicz też mówił, że po ślubie panny Sabiny z panem Błażejem głowa pana sędziego nie będzie bolała, i że nietylko 150,000 ale 200,000 wyliczy na hipotekę Topolina, że spłaci wszystkich wierzycieli i nie dozwoli, abyście j. w. państwo dłużéj trapieni i prześladowani byli.

Sędzia (skoczył do Piórczyńskiego). Czy to być może?!... więc mówiłeś otwarcie i on ci taką dał odpowiedź... Ja zawsze do tego Rublewicza miałem skłonność i szczególniejszy pociąg serca. — Więc waćpan *per modum* intercyzę ułożył; *(całuje go w głowę)* dobrze, dobrześ się spisał, anim się mógł spodziewać; ja tego waćpanu nie zapomnę, odbierzesz waćpan trzechletnią zaległość pensyi swojéj i nadto dam ci 500 złp. na wyprawę dla Fruzi, — powiadała mi, że się kochacie; zrobię waćpana komisarzem, będziecie mieszkać w Topolinie, a i my Warszawę opuścimy: dała mi się we znaki, chce odpocząć, — pojedziemy do wód, do Drezna.

Jankiel. A ja co dostanę?...

Sędzia. Za co?!

Jankiel. JW. pan zapomniał, żem j. w. pana namawiał, aby pannę Sabinę wydać za pana Rublewicza.

Sędzia. Prawda, tyś mi także radził, — dam ci kilka zagonów pod kartofle i opuszczę ci po 5 zł. na każdéj krowie.

Jankiel (kłania się). Prosiłbym także j. w. pana o tę srokatą szkapinę, bo Bóg żywie, nie mam czém na jarmark wyjechać; moja kobyłe mi zdechłe za pańskiemi interesami, i bardzo jest niełądne, że faktor j. w. pana Rozinoskiem na piechotę chodzić musi.

Sędzia. Mniejsza o konia, mój Jankielku dam ci i konia, tylko żeby to już było po ślubie.

Jankiel. Dziękuję tymczasem j. w. panu; ja go zaraz za powrotem zaprzęgę, tylko że nie mam do czego, bo mi się moje tradajke na dwóch kółkach do szczęt roztrzęsło; żeby j. w. pan był łaskaw kazać mi wydać ekonomowi tego zielone bryczki co stoi w pańskiéj wozowni.

Sędzia. Możesz wziąć i bryczkę, ale postaraj mi się dzisiaj, tutaj w Warszawie, o kilka butelek szampańskiego wina; po zaręczynach trzeba wypić zdrowie państwa młodych, a Rublewiczowie tylko szampańskie piją.

Jankiel. Niechaj j. w. pan napisze kwitek do ekonoma, bo on mnie nie będzie chciał wierzyć.

Sędzia (pisze i czyta). Wydasz waćpan 3 zagony pod kartofle.

Jankiel. Sześć proszę j. w. pana, te trzy to dla mojéj żony.

Sędzia (pisze i czyta). Sześć zagonów, srokatego konia z fornalki, i moję bryczkę od pola, zieloną.

Jankiel (do Piórczyńskiego). Względem tego wina to pan Piórczyński będzie się postarać, bo ja nie mam teraz w Warszawie żadnych znajomościów z kupcami.

Sędzia (oddając Janklowi kwitek). Tylko was proszę, abym nie miał zawodu a ztąd wstydu; idźcie na miasto, ja uwiadomię moję żonę i moję córkę.

(Wszyscy odchodzą).

Teatr zmienia się na pokój bawialny.

SCENA SIÓDMA.

Sędzina i Majonez.

Sędzina siedzi przy stoliku, za ogromnym stosem książek.

Sędzina. Gdybym tego była pewną, że waćpan szczerze system mój wszędzie, publicznie, jawnie i głośno popierać będziesz, to — jakkolwiek mnie, hrabio obraziłeś i zawiodłeś w moich uczuciach...

Majonez (klęka i całuje rękę). Zawsze cię, pani wielbić będę!

SCENA ÓSMA.

Ciż sami i Sędzia, Sabina i Fruzia.

Sędzia. Co się to ma znaczyć!?...

Majonez (zrywa się).

Sabina. Fruziu, ratuj mnie! *(pada na ręce Fruzi i niby mdleje).*

Majonez (załamuje ręce i stoi osłupiały).

Sędzina (powstaje z krzesełka). Pan Pantaleon hrabia Majonez prosił mnie właśnie o rękę Sabiny.

Sabina (zrywa się i biegnie do Majoneza). Przepraszam cię, Pantaleonie... ale wiedząc, ile matka moja przejęta jest emancypacyą... *(rozmawiają po cichu; Fruzia podsłuchuje, co sędzia mówi).*

Sędzia (na stronie do żony). Życzyłbym jednakże, aby pani na przyszłość oświadczyny o rękę

córek naszych w mojéj obecności przyjmować raczyła; — teraz to tylko pani powiem, że pan Majonez zięciem naszym być nie może. Nie mam nic przeciwko niemu; młodzieniec z dystyngowanéj rodziny, — familia Majonezów jest piękna; chłopiec przystojny, dobrze *edukowany*, — ale bez żadnego majątku!... Nam potrzeba bogatego zięcia.

Sędzina. A zkądże go weźmiemy?...

Sędzia. Rublewiczowie dzisiaj Błażeja oświadczą.

Sędzina. Nigdy! nigdy nie zezwolę na to; jego matka nie mówi po francusku, ojciec był mydlarzem, syn nie zna żadnego systemu filozofii.

Sędzia. Zna filozofią tysiąc razy lepiéj jak Majonez, jak ja, jak pani.

Sędzina. Błażej Rublewicz?!

Sędzia. Po ślubie ze Sabinką pożycza nam stary Rublewicz 200,000 złp.! słyszysz 200,000!

Sędzina. A czyżby nie mógł pożyczyć bez tego połączenia się dzieci naszych? — można mu dać procent większy; będąc z nami spowinowacony — objaśnij go wtém — byłoby nieprzyzwoicie dla niego, aby się o dług upominał; jeżeli zaś da jako nam obcy, poczeka do śmierci ks. biskupa.

Sędzia. Pani sędzina siebie i mnie nie oszukuj; ks. biskup grosza przy duszy nie ma, wszystko rozdał pomiędzy ubogich.

Sędzina. Co za nieszczęśliwy nałóg!

Sędzia. Wiem nawet, że jego zaślepienie do tego

stopnia doszło, iż w zeszłéj zimie nawet i klejnoty sprzedał na odzienie i na drzewo dla żebraków, twierdząc, że oni wszyscy są jego krewni.

Sędzina. Co za zgorszenie dla bezdzietnych osób! on działa ze stanowiska...

Sędzia (z oburzeniem). Co się sędzinie pytać o jego stanowisko, my patrzajmy naszego stanowiska, i kiedy się nastręcza tak kardynalny ratunek, nie puszczać go z ręki, bo zginiemy z kretesem. Wiesz jejmość, że na Topolinie, który nie wart czterech kroć, przeszło 300,000 mamy długu prócz rewersów, których także w kapelusz nie zmieścisz. Nikt grosza więcéj pożyczyć nie chce, w domu brak wszystkiego; jejmość bo przed filozofią nie ma czasu o to się spytać, aleć ja dzisiaj, gdy kawy zabrakło, niemięszanéj cykoryi z mleczkiem napiłem się rano! O pani dobrodziejko! w domu Razinoskich nigdy cykorya nie postała!

Sędzina. I ja jéj u moich rodziców nie zaznałam.

Sędzia. Moja garderoba już nawet bardzo krucha, najlepszy frak mam na sobie, a pamiętaj, pani! że suknie czynią człowieka!

Sędzina. Ach!... a ja już od czterech tygodni i łokcia wstążki nie kupiłam! — cały świat nosi cyganki, ja jeszcze w kardynałce! ledwo nie zwaryjuję.

Sędzia. I Sabinka jakoś coraz to skromniéj się ubiera, a przecież to córka Razinoskiego.

Sędzina. Panienka może się obejść w przerabianych sukienkach, ale ja, sędzina!

Sędzia. Przeciwnie, rozumiem, że waćpani nietyle potrzebujesz stroju.

Sędzina. A to ciekawam, dlaczego ja nie mam potrzebować stroju?

Sędzia. Bo waćpani jesteś już osobą, która powinna być bez pretensyi.

Sędzina. Jakto? co waćpan pleciesz? ja mam być bez pretensyi?

Majonez (przybliża się). Więc los mój, szczęście całego życia, — nie znajduje żadnéj przeszkody w sercu rodzicielskiém j. w. państwa.

Sędzia. I owszem zachodzi przeszkoda.

Majonez. Przez Boga! co słyszę! Panie sędzio, żartujesz?

Sędzia. Niemylna prawda!... Z ojcem waćpana razem odbyliśmy podróż do Paryża.

Majonez. Może pojedynek?...

Sędzia. Nie, żyliśmy zawsze w najwyższéj zgodzie. Ildefons hrabia Majonez, ojciec pana Pantaleona, i ja Spirydyon, starościc Paproć Razinoski, byliśmy przez lat 3 nierozłącznymi przyjaciółmi we wszystkich salonach paryskich; rozstając się, gdy hrabiego brano za długi do więzienia, — dostałem palpitacyi serca, która mi w całém życiu, przy każdém rozczuleniu, dotkliwie się odzywa *(ociera oczy i chwyta się za serce).* Wróciwszy do kraju, wpierw nim ojciec pański uwolnił się z przykrego położenia, starałem się

o rękę panny kasztelanki, ja miałem być ojcem pana Pantaleona: — intrygi, zjawienie się hrabiego, zerwały ten stosunek, który już był daleko posunionym, — jednakże nie przestałem na chwilę być przyjacielem domu Majonezów.

Sędzina (na stronie). Nigdy mi o tém nie powiadał — oj wy mężczyźni!...

Majonez. I ja też licząc na tę przyjaźń pana dobrodzieja, o której mi św. p. ojciec mój tak często ze łzami wspominał, o której ś. p. matka moja bez wzruszenia wyrzec nie mogła...

Sędzia (ociera oczy).

Majonez. Miałżebym w sercu przyjaciela rodziców moich znaleźć przyczynę najsroższej dla mnie męczarni, najczarniejszéj rozpaczy, — cios samobójczéj śmierci!

Sędzia (gwałtowną tamuje niespokojność).

Sabina (zbliża się do ojca i mówi z całą naiwnością). Papo! ja kocham Majoneza...

Majonez (rzuca się do nóg Razinoskiego).

SCENA DZIEWIĄTA.

Ciż sami i Dr. Piguła.

(Dr. Piguła modnie ubrany, z wstążeczką u fraka, z wielką trzciną, z pugilaresem chirurgicznym w bocznej kieszeni).

(Majonez powstaje z kolan).

Dr. Piguła. Mam honor zapytać się o zdrowie j. w. państwa dobrodziejstwa.

Sędzia. Witam szanownego konsyliarza.

Dr. Piguła. Pan sędzia zdrów? dobrze, a pani dobrodziejka? *(całuje podaną sobie rączkę).*

Sędzina. Ja zawsze słabą jestem: kongestya do głowy, ból skroni, tłoczenie na ciemieniu *(wskazuje miejsca cierpień),* krótki oddech, spazma i szum w uszach ciągle mi dokuczają.

Dr. Piguła. Pani zbytnie natężasz myśli, mało masz domowego zatrudnienia; potrzeba pani ruchu umiarkowanego, utrudzenia ciała a odpoczynku głowie.

Sędzia (do Majoneza). Później pomówimy o tem.

Sędzina (odpowiadając Doktorowi). Przyjąwszy raz na moje barki dźwignienie filozofii z jej mylnego stanowiska, nie mogę na pół drogi ustawać.

Dr. Piguła. Ale czyliż bez pani dobrodziejki nie damy sobie rady? potrzebaż koniecznie, aby płeć słaba fatygowała się w tak uciążliwe szranki?...

Sędzina. Jesteście na ścieżce potępienia, ja was muszę nawrócić, oświecić, wybawić.

Dr. Piguła. Pozwól, pani, że zdanie moje wyraźnie objawię: filozofia nie jest powołaniem kobiety.

Sędzina. Więc chcielibyście, abyśmy w zupełnej żyły niewiadomości?...

Dr. Piguła. Bynajmniej! — Nie jesteście przeznaczone niewolniczym wzrokiem obojętnie na swoje patrzyć istnienie, przeciwnie powinnością waszą jest starać się o to, ażeby życie wasze nie było samą zmysłowością. — Ale zaniedbywać naj-

świętszych obowiązków żony i matki, niszczyć zdrowie swoje, aby wyjść w szranki z mężczyznami o porządek świata, nie do was należy. Przyrodzenie dało wam dział wielki, — nie zazdrośćcie nam praw naszych. Pierwotne wychowanie dziatek, początkowa dla tychże nauka miłości Boga i bliźniego, zaszczepienie w młodociane serca cnót chrześcijańskich, ukształcecenie waszych córek, łagodzenie surowszych nawyknień mężów, uprzyjemnienie życia całego społeczeństwa, oto wasz zawód! Przez śpiew, muzykę, poezyą, malarstwo, przez skarb uczuć swoich wywrzecie najszczęśliwszy wpływ na nas, a użycie siły i część umniczą nam zostawcie, bo te dwa wydziały do waszego departamentu nie należą, i każde pokuszenie się wasze albo chybi celu, albo wyrodzi karłowaty lub szalony potwór. Natura uczyniła pomiędzy nami widoczną granicę, nie przechodźcie za naszą! Błogosławiąc wasze dobrodziejstwa żony i matki, wielbiąc serce, szanując radę waszą, — nie żądamy od was więcej. Po cóż więc chcecie być naszymi nauczycielami, zapaśnikami na drodze ciężkich badań? Czyż żądacie abyśmy szorstką dłonią nad kołyskami dzieci naszych pończochy robili, a wy iżbyście z mieczem w drobnych rączętach czytały nam prawidła wszechświata! Myż będziem zbiorem uczuć?... wy absolutną potęgą?... Wolę Boga, porządek natury czyli chcecie znieść i przekształcić?...

Sędzia (patrząc na swoję żonę, wyciąga palce przed swoim nosem, chcąc oznaczyć, że sędzina nosa dostała).

Sędzina. Czyliż ta surowa *oracya* była jedynym powodem, że nas pan Piguła odwiedzić raczył?

Dr. Piguła. Stało się to przypadkowo, od niechcenia: ja przybyłem *(spostrzegając Majoneza)*... Pan hrabia już wychodzi; po tak mocnym katarze należałoby się szanować, — upominałem. *(Do Sędziego).* Nie mógłbym z państwem dobrodziejstwem sam na sam pomówić?

Sędzia (do żony). Proszę cię, kochanie, na chwilę. *(Podaje z trefnością rękę sędzinie, ona mu grozi przyjaźnie, — oddalają się wraz z doktorem do pokoju sędziego).*

SCENA DZIESIĄTA.

Sabina, Majonez i Fruzia.

Majonez. Sabino! chwila stanowcza nadeszła, Piguła jest przysłany od Rublewiczów.

Fruzia. Na moje własne uszy słyszałam, iż pan sędzia powiedział pani sędzinie, że Rublewiczowi a nie panu Majonezowi rękę panny Sabiny przeznacza, że pan Rublewicz pożyczy 200,000 złp., że dzisiaj będą zaręczyny.

Sabina. Więc mnie sprzedają! *(załamuje ręce).*

Majonez. Ty więc, anielska istoto! miałażbyś należeć do Błażeja? serce twoje miałożby być rzucone do nóg srebrnego bałwana?... Sabino! dla twojego zbawienia zbrodnię popełnię... tu,

tu w tém miejscu, kiedy przyjdzie za umówioną cenę domagać się twojéj ręki, — ja jedném pchnięciem sztyleta oddalę całą grożącą ci burzę.

Sabina. Pantaleonie!... *(wyciąga do niego ręce i pada w jego objęcia).*

Fruzia. I cóż pan hrabia dobrego zrobi?... przyjdzie policya, osadzą w więzieniu i ślubny wianek zamieni się w kajdany na całe życie.

Sabina. Więc ja umrę!...

Fruzia. Łatwo powiedzieć umrę! umrę! ale kiedy panna zdrowa, jakżesz tu naraz umierać. Jabym sobie inaczéj poczęła.

Majonez. Mów! daj radę! Afryki i Azyi złota i srebra kopalnie oddam ci w nagrodę.

Fruzia. Proszę pana hrabiego *(z figlarnym uśmiechem),* daleko do tych kopalni?...

(Majonez wydobywa kieskę, lecz ta jest próżną; zrywa z siebie lornetkę z łańcuszkiem, przy którym jest stalowy kluczyk; wyjmuje z bocznej kieszeni pudełko z sygarami; wyciąga chustkę fularową z kieszeni i kładzie przed Fruzią na stole).

Sabina. Mów, mów, moja Fruziu.

Fruzia (odsuwając podarki). Co to pani starsza zawsze rozprawia o jakiéj acacypacyi, — czyliby nie można za pozwoleniem téj jejmości, ażeby panna Sabina z panem hrabią, dzisiaj ciemnym wieczorem, wyjechała do księdza biskupa, a iżby było przyzwoiciéj, ja już z państwem pojadę; przecież on jest dziaduniem

panny Sabiny, dałby ślub i zarazby młodéj parze obmyślił z dóbr swoich jaki folwarczek, na początek byłoby dosyć.

Majonez. Fruziu! anioł przez ciebie przemówił.

Sabina (skubie chusteczkę w ręku). Ja nie wiem...

Majonez. Pamiętasz, Sabino! co twoja matka tutaj, tam oto w tém miejscu *(wskazuje na krzesło przy stoliku z papierami)* mówiła, dając Horci lekcyą absolutnego stanowiska.

Sabina. Ale mój dobry ojciec...

Majonez. On cię sprzedaje, aby świetność swojego imienia utrzymać.

SCENA JEDENASTA.

Ciż sami i lokaj Jan.

Jan. Państwo proszą do ogrodu. *(Odchodzi).*

Majonez. Sabino! usłyszymy tam wyrok naszego rozłączenia, chwila ostatnia nadeszła.

Sabina. Pantaleonie! mój los w twoje ręce oddaję.

(Majonez z namiętnością przyciska do ust swoich rękę Sabiny. — Fruzia w dłoń klaszcze z radości). (Majonez i Sabina odchodzą).

SCENA DWUNASTA.

Fruzia (sama — zamyślona chodzi przez chwil kilka, nakoniec stawa i mówi z uczuciem). Piórczyński mnie porzuci, utracę narzeczonego, do którego przywiązałam się szczerze; utracę los... może na zawsze pozostanę w służbie, zależną, poniewieraną; — ale wspomnienie, żem się przy-

czyniła do uszczęśliwienia dwojga ludzi, — to wspomnienie, ten głos mej duszy, nagrodzi wszystkie cierpienia. Oni rozumieją, że serce moje jest bez barwy, bez szlachetniejszego uczucia... a przecież ja dla nich szczęście całej mojej przyszłości poświęcam... *(Odchodzi).*

SCENA TRZYNASTA.

Sędzia i Sędzina.

Sędzia. Nie spodziewałem się tak łatwego nad Sabinką zwycięstwa.

Sędzina. Widzisz więc, że zasady wychowania, jakie dałam Sabince, są gruntowne i wzorowe.

Sędzia. Zostaw te pochwały na czas wolniejszy, teraz idź pani zrobić toaletę; Sabina niechaj weźmie tę gazową sukienkę z krótkiemi rękawkami i wieniec ze złoconych róż na głowę, tak jak była u gubernatora.

Sędzina. Obejdzie się bez twojej rady, jestem matką i wiem, jaki ubiór Sabince najlepiej do twarzy *(odchodzi).*

SCENA CZTERNASTA.

Sędzia (sam). Rublewiczowie mają być o godzinie 7-méj, ci ludzie zaczynają dobry ton pojmować. *(Dzwoni).*

SCENA PIĘTNASTA.

Sędzia i Jan lokaj.

Jan. Co jaśnie pan rozkaże?

Sędzia. Czy Piórczyński oddał szampańskie wino?
Jan. Dwie butelki, jaśnie panie.
Sędzia (na stronie). Trochę za skromnie, trzeba będzie pić temi mniejszemi kieliszkami. Rublewiczowie nie są nałogowi, ludzie lubiący zbierać pieniądze, a więc nie skorzy do kielicha, — ale jednakże przy takiej okoliczności... Najgorzej będzie z Pigułą, syn dawnego adwokata z Piotrkowa, pije za dziesięciu, namówię go do węgierskiego. *(Głośno).* Uprzątniesz balkonowy salon, światło jarzące, liberya z galonami, na godzinę 6-tą żeby było wszystko gotowe.
Jan. Dobrze jaśnie panie.
(Sędzia odchodzi na lewo, lokaj na prawo).

Teatr zmienia się na salon rzęsisto-oswietlony.

SCENA SZESNASTA.

Sabina i Fruzia, obiedwie w podróżnem ubraniu.
Sabina (trzyma za klamkę od drzwi głównych).
Fruzia (wyrzuca oknem kilka tłomoczków i pudełek).
(Sabina mimiką z żalem żegna się z pomieszkaniem rodziców. — Poza oknem słychać uderzenie w dłonie. — Obiedwie uciekają przez przeciwległe drzwi).

SCENA SIEDEMNASTA.

Sędzia wchodzi wystrojony, z powagą.
Sędzia (głośno do siebie). Gdyby mi kto przed 4-ma tygodniami powiedział, że ja znajdę człowieka, który mi 200,000 z procentem po 4 od sta, na lat 12 pożyczy, byłbym go za waryata po-

czytał, — prędzejbym się spodziewał, że żona moja zrzecze się urojeń do emancypacyi, że ogień parzyć, lud ziębić przestanie, że się cukier na pieprz, pieprz na cukier przemieni, aniżelibym uwierzył, że jest na kuli ziemskiej tak dobra i szlachetna istota jak Rublewicz! O Boże! gdyby ten człowiek był jeszcze szlachcicem!... ja nie wiem, czylibym go wyżej od Napoleona nie cenił! A ten Błażej! co to za poczciwa fizyonomia! jakie spojrzenie Rzymianina! co za dusza spartańska!... a i matka, nie jestże to wierny obraz starodawnej prostoty cnotliwej niewiadomości? O! ona pewno z absolutnego stanowiska mężowi swojemu rogów nie przypięła. Rublewicz z pewnością twierdzić i utrzymywać może, że Błażej ani szelągiem, ani dukatem, ale że czystym, niewątpliwym jest rublem! Szkoda! niewysłowiona szkoda, nieograniczona szkoda! że ci ludzie nie są dobrze urodzeni. *(Spoglądając na zegarek).* Już trzy kwadranse na szóstą.

SCENA OŚMNASTA.

Tenże i Dr. Piguła.

Sędzia. Najszanowniejszy, najczcigodniejszy, najzacniejszy konsyliarzu! *(całują się).*

Dr. Piguła. Zmienia się rzecz.

Sędzia (odskoczył z przerażeniem). A to hultajskie, karczemne, mydlarskie plemię! — nigdy ja ufności nie miałem.

Dr. Piguła. Sędzio! nie tak porywczo! Rublewicz,

dowiedziawszy się odemnie, że Majonez po oddaleniu się z domu jw. państwa czynił rozmaite odgróżki, postanowił, aby się dzisiaj ślub odbył.

Sędzia (z radością). Dzisiaj?...

Dr. Piguła. O godzinie 9-tej przy pochodniach, w kościele katedralnym, panie dobrodzieju!... *(Z większym tryumfem).* Oto jest indult! oto intercyza! którą przed ślubem podpiszecie, i dzisiaj jeszcze 200,000 sędzia Razinoski wyliczonemi sobie mieć będzie.

Sędzia. Wybornie! wybornie! *wybornissime!* Jam Sabinkę przygotował tylko do zaręczyn, i to z wielkim płaczem dziewczęcia, a tutaj, nie dając jéj czasu do wybiegów, skończymy wszystko od razu. Przyznam ci się, konsyliarzu, arcymądrze uczyniono! Rublewicz ma głowę nie dla formy; ale zkądżeście się tak prędko o indult postarali?

Dr. Piguła. O wpół do szóstéj wyjechał Rublewicz swoją dryndulką na miasto, o kwadrans na siódmą przywiózł indult!

Sędzia. Jużto Rublewiczowie, co chcą, to zrobią!

Dr. Piguła. Tu nie było czasu do tracenia, hrabia Majonez hardą sztuczka.

Sędzia. Mógłby nam figla wypłatać nielada; hrabiowie znają się na podobnych obrotach a w rodzinie Majonezów jest łatwość zdobywania serc panieńskich,—ale i Razinoski, gdzie idzie o pożyczkę pieniędzy, czasu na próżno nie traci.

SCENA DZIEWIĘTNASTA.

Ciż i Sędzina zgalowana.

Sędzina. Bon soir. Mr. le Conseillier! vous y étes deja! eh bien! quand est-ce que vont arriver nos amis?

Sędzia. Proszę cię, Kunusiu, tylko mi dzisiaj po francusku nie gadaj; — Rublewiczowa jest zacną osobą, po francusku nie mówi, mogłaby ją twoja *niedyskretność* obrazić.

Sędzina. Po sto razy panu sędziemu oświadczyłam, że te Kunusie, Marychny, do garderoby stósowne, ale nie dla żony *d'un homme de notre caste.*

Sędzia. Zapomniałem się, przepraszam panią sędzinę najuroczyściéj, lecz nawzajem proszę, błagam, na te kilka godzin, dopóki pieniędzy do mojéj ręki nie odbiorę, bądźmy ludźmi dawnéj daty, — ściskajmy się, całujmy, kochajmy się jakoby dzieci jednego ojca; późniéj, jak ja schwycę 200,000, kłóćcie się, drapcie, głowy sobie urywajcie, ja się tam w wasze babskie sprawy mieszać nie będę.

Sędzina. Waćpan nigdy parafianinem być nie przestaniesz, — cóż znowu za babskie sprawy?... *Vous étes un impertinent.*

Sędzia. Mille pardons mon ange — chciałem mówić pani sędzino!

Dr. Piguła. Dajcie państwo pokój tym wszystkim zatargom i karesom. Czy pani sędzina wie o tém, że dzisiaj jeszcze ślub nastąpi?

Sędzina. Jaki ślub!?...

Sędzia. To jest, dzisiaj Rublewicz wyliczy 200,000 i zaraz następnie jedziemy do katedralnego kościoła, gdzie córka nasza Sabinka połączoną zostanie węzłem nierozerwanym, sakramentem małżeństwa z Błażejem Rublewiczem.

Sędzina. A wyprawa?! a goście! bal! tańce!

Dr. Piguła. Wszystko po ślubie, na przenosinach być może.

Sędzia. Jejmość 20,000 będzie miała do dyspozycyi na wyprawę Sabiny, 3000 dla siebie.

Sędzina. Trzy tysiące dla mnie?! *quelle drole d'idee, ma foi!* waćpanu się w głowie przewróciło; bierzesz dwieście tysięcy i mnie tylko trzy tysiące z tego przeznaczasz za całe umartwienie, że córka moja robi *une mesalliance,* że ją od matczynego łona oddalam. *(Ociera suche oczy).*

Dr. Piguła. Istotnie, sędzia w tym przypadku za skąpy.

Sędzia. Ale ja tylko projektowałem, — zresztą niechaj będzie sześć tysięcy.

Sędzina. Ja od dziesięciu tysięcy nie odstąpię; mnie są potrzebne dwa szlafroczki z angielskiego batystu, 6 jedwabnych sukien w najświeższy deseń, 2 atłasowe, 1 aksamitna, 1 koronkowa, 3 mantyle, 2 paryżanki i przynajmniéj 1 cyganka, 4 kapelusze, pióra, kilka beretów, nowe kolczyki brylantowe, jednę bransoletkę z platyny, chociażby 3 sznureczki pereł i chustek przynajmniéj pół tuzina od nosa paryskiego.

Dr. Piguła. Co znów! pani masz nos paryski?!
Sędzia. Gęba jak na wiatraku...
Sędzina. Ja chcę paryskich chustek od nosa, które płacimy po 300 złp.
Sędzia. Chustka od nosa po 300 złp. jedna?!
Sędzina. Tak jest! jedna kosztuje 300 złp. Prezesowa kupiła po tej cenie jednę czwartą tuzina, żona adwokata kupiła pół tuzina, żona dozorcy kolei żelaznéj cały tuzin; dlaczegóżbym ja, sędzina z Chłystkiewiczów Razinoska, sześciu takich chustek po trzysta złp. mieć nie miała?...
Dr. Piguła. Powiedz mi, pani dobrodziejka, czy te chustki są ze siatki złotéj?
Sędzina. Nie ze złotéj siatki, — jest to maleńki kawałek pajęczéj tkanki z pokrzywki, z szerokim koronkowym szlakiem.
Sędzia. I taką pajęczyną chcesz waćpani nos ucierać? Mój ty Boże! ś. p. Chłystkiewiczowa, matka waćpani, zaszczycała się nosem o wiele większym, jakby na urząd zrobionym i ucierała go tylko płótnem swojéj domowéj roboty, — a od święta, od wielkiéj uroczystości płótnem kolońskiém.
Sędzina. Z postępem wieków idą wyobrażenia.
Dr. Piguła. Ileżto za taką jednę chustkę byłoby koszul dla biednych!...

SCENA DWUDZIESTA.

Ciż sami i Piórczyński.

Piórczyński (na stronie do Sędziego). J. W. panie,

potrafiłem jeszcze dostać cztery butelki szampańskiego, ale pod słowem honoru, że jutro zapłacę; racz więc j. w. pan pamiętać, abym mojego honoru nie zawstydził; można będzie i na drugi raz w tém miejscu pokredytować.

Sędzia (patetycznie). Jutro rano przyniesiesz mi asan wszystkie rachunki od Chrześcijan i Żydów, słyszy asan, wszystkie!

Piórczyński. Wiem po alfabecie na pamięć, co się komu należy:

Adolf et Comp. za musztardę i kapary złp. 260. Butler...

Sędzia. Cóż mi asan chcesz dwie godziny litanią gadać! Dzisiaj ślub mojéj córki, panny Sabiny, jutro płacę wszystkie drobiazgi.

Piórczyński. Dzisiaj!?... Czy być może? *(Na stronie).* Więc i ja jutro odbiorę 6000 od pana Błażeja przyrzeczonéj nagrody; 1530 złp. zaległości od mojego pana; 1000 złp. gratyfikacyi.

Sędzia. Ubierz się asan przyzwoiciéj i bądź na zawołanie do przeliczenia pieniędzy, do pieczętowania worków.

Piórczyński (na stronie). Victoria! Victoria! *(Liczy na palcach).*

6,000
1,730
1,000

suma 8,730 — mam rozpożyczonych na procencik 2,800

suma sumarum 11,530 i Fruzia! — Będzie dzier-

żawa, cztery konie, powóz! — serce mi pęknie z radości, muszę chociaż na chwilkę pomówić z Fruzią. *(Odchodzi).*

Sędzia (spogląda na zegarek). Jeszcze siedm sekund brakuje.

SCENA DWUDZIESTA PIERWSZA.

Zgalowani lokaje otwierają podwoje. — Wtaczają się bardzo postrojeni i uperfumowani:

Rublewiczowa, Rublewicz, Błażej Rublewicz, Rejent, Szaraczkowska (matka Rublewiczowej); Kunegunda, Petronela, Urszula.

(Sędzina biegnie i całuje Rublewiczową; Sędzia całuje Rublewicza; Piguła całuje panny Rublewiczówne; Szaraczkowska kłania się lokajom, lokaje kłaniają się Szaraczkowskiej. Błażej przez zapomnienie całuje Rejenta, wszyscy się kłaniają i całują).

Sędzia (do Rublewicza). Najdroższy, najukochańszy! *(Całują się na nowo).*

Dr. Piguła (zaciera ręce).

Rublewiczowa (biorąc swoję matkę za rękę). Prezentuję j. w. państwu matkę moję! *(Skinąwszy na córki, które wysuwają się w białych sukienkach).* A to moje córki: Kunegunda najstarsza, Petronela weśrednia, Urszula najmłodsza.

(Każda z panien Rublewiczówien, za wymienieniem przez matkę swojego imienia, robi dyga i odzywa się: „debry wieczór j. w. państwu“; — towarzystwo zasiada).

(Na skinienie Dr. Piguły, lokaje stawiają stół na środku).

Dr. Piguła. (głośno, z umiarkowaniem, poważnie). Państwo dobrodziejstwo pozwolicie, że ja, wezwany przez WW. Rublewiczów, jako przyjaciel ich domu *(kłania się Rublewiczom, cała familia Rublewiczów dziękuje ukłonem)* i zaszczycony zaufaniem j. w. sędziostwa Razinoskich, również jako przyjaciel ich domu *(Sędzina się uśmiecha, Razinoski lekko głową skinął)*, w uregulowaniu całego interesu tak rzecz zagajam. *(Bardzo poważnie i nieco głośniej, z przestankami).* Trzy epoki w życiu ludzkiem są najważniejsze: przyjście na świat!... połączenie się związkiem małżeństwa!... i śmierć! *mors!* Jesteśmy w drugiej epoce, czyli mamy być obecnymi zamęściu jaśnie wielmożnej sędzianki Sabiny Razinoskiej z wielmożnym Błażejem Rublewiczem. Najszanowniejsi rodzice młodej pary! *(Oglądają się, szukając oczyma Sabiny). Dulce est lenimen laborum!* chwila ta nagradza wam trudy wasze, podjęte około wychowania i ukształcenia waszych dzieci. Święty ogień miłości zapalił swoję pochodnią w młodocianych sercach! Dwie wielkie rodziny *(Sędzina uciera nos)*, połączą się ogniwem pokrewieństwa, a nowa trzecia rodzina, odrośl wiosny waszej, wystrzeli niezadługo zawiązkiem czwartej rodziny!

(Rublewiczowa płacze, ojcowie podają sobie dłonie; Błażej się śmieje, panny spuszczają głowę, gdy w tem odzywa się Szaraczkowska).

Szaraczkowska (przez nos). Tak bywało przed nami, tak się za nas dzieje i tak po nas będzie bywać.

Błażej (całuje babkę w rękę).

Dr. Piguła (w dalszym ciągu). Dla nadania kierunku dalszemu kierunkowi należy przedewszystkiém, rozsądnie działając, założyć węgielną podstawę do zaspokojenia żądań i wymagań świata, to jest, opatrzyć przyszły los młodych państwa; — z tych przyczyn i powodów wielmożny rejent odczytać nam raczy układ zawarty pomiędzy j. w. sędzią Razinoskim a w. Rublewiczem.

Rejent (kładzie na nos okulary). «Przed rejentem kancelaryi L. stawili się osobiście, rejentowi dostatecznie znani, zdrowi na umyśle i na ciele».

Dr. Piguła. Za zdrowie to już ręczę.

Rejent (w dalszym ciągu). «Do czynności prawnych przeszkód żadnych nie mający, wobec niżej wyrażonych świadków; j. w. Spirydyon, Hiacynty, Anzelm, trzech imion Paproć Razinoski, dziedzic dóbr Topolina z przyległościami, sędzia pokoju, i wielmożny Mateusz, Grzegórz, dwóch imion Rublewicz, dziedzic dóbr Myszkowa z przyległościami, obydwaj w Warszawie prawne mieszkanie obierający, i następującej osnowy akt niewzruszony i nieodwołalny zawierają:

§. 1. JW. Spirydyon Razinoski obowiązuje się swojéj córce Sabinie, skoro wyjdzie za mąż

za Błażeja Rublewicza, syna WW. Mateusza Grzegorza i Elżbiety z Szaraczkowskich Rublewiczów, zaraz po ślubie, najdaléj w 14 dni, *pro primo* dać wyprawę garderoby żeńskiéj, odpowiednią jéj stanowi; *pro secundo,* letnie pomieszkanie, zwane chińską altaną, umieszczone w południowo-zachodniéj stronie angielskiego ogrodu w Topolinie, przeznaczyć na rezydencyą dla młodych państwa, o ileby ciż w Myszkowie za Suwałkami przebywać nie chcieli; *pro tertio*, zapisać na dobrach Topolinie sumę 300,000 złp. bez procentu, młodym Rublewiczom przypaść mającą, po najdłuższém życiu obojgu j. w. sędziostwa Razinoskich». *(Rejent uciera nos).*

Sędzina (do Rublewiczowej). Jakie to ofiary czynimy dla tych dzieci. *(Rublewiczowa całuje ją w ramię).*

Rejent (w dalszym ciągu). §. 2. W. Mateusz Grzegorz Rublewicz zaś, przy podpisie tegoż aktu, wypożycza i wyliczy do rąk j. w. sędziego Razinoskiego sumę 200,000 złp.».

Dr. Piguła (do Rublewicza). Zysk 100,000 wyraźny.

Rublewicz (do Piguły). Ale czy się ta suma zmieści na Topolinie?...

Dr. Piguła. Gleba pszenna, łąki, pastwiska, okiem nie dojrzysz, *(na stronie)* bo las sąsiedzki zasłania.

Rejent (w dalszym ciągu). «Zastrzegając sobie jednakże 4 procent od sta, z dołu opłacać się ma-

jący w dniu 24 czerwca każdego roku, ubezpieczając tę sumę na dobrach Topolinie, z prawem wypowiedzenia za lat 12 w razie rozwodu, bezdzietności lub śmierci»...

Dr. Piguła. To jest tylko forma: już ja, będąc waszym domowym lekarzem, śmierci do państwa młodych nie dopuszczę. Reszta jest zwyczajnem zakończeniem: «Nakazujemy komornikom, sile zbrojnej etc.», rzeczy wiadome. Raczcie podpisać, bo nie można się ociągać, na godzinę 9-tą oświetlony będzie kościół, duchowieństwo czeka.

(Sędzia i Rublewicz robią ceregiele w pierwszeństwie podpisu, tą razą Sędzia zwyciężył, Rublewicz podpisuje pierwszy, następnie Razinoski).

Rublewicz. Akuratność, panie sędzio, jest zasadą mojego życia.

(Obraca się do Błażeja, Błażej wybiega i wraca natychmiast z Maciejem, parobkiem kamienicznym pana Rublewicza, obydwaj dźwigają worki).

Maciej. Alem się zapocił, zanim je tu przyniosłem.

Sędzia (szuka po kieszonkach, ale nie mogąc nic znaleść, mówi do Dra Piguły). Konsyliarzu, daj tam temu poczciwcowi. *(Sędzia dzwoni).*

Jan. Jestem, jaśnie panie.

Sędzia. Zawołaj sekretarza Piórczyńskiego. *(Jan wychodzi i wraca zaraz z Piórczyńskim).*

(Liczą worki, Rublewicz i Błażej wyciągają ze wszystkich kieszeni bilety bankowe; Rublewiczowa i córki wyjmują z pozanadrza listy zastawne; Szaraczkow-

ska rozpina swój szlafroczek i także oddaje kilka papierów).

Sędzina (całuje Rublewiczową). Ziściły się nasze najgorętsze życzenia.

Sędzia (do Rublewicza). Więc *tandem* następuje najdroższy dla serc naszych związek!

Jan. Z kościoła dali znać, że wszystko gotowe.

Rublewiczowa (do Sędziny). Sabinka zapewne ukończyła ślubne ubranie.

Sędzina. Przez skromność czeka na mój rozkaz, — o! bo trzeba drogiej pani wiedzieć, że najstaranniejsze wychowanie mojej córki zasadzałam na skromności, na moralności, na posłuszeństwie dla rodziców, — jedynie co do męża wskazałam jéj stanowisko...

Sędzia. Kochanie, przyprowadź Sabinkę. *(Do Dra Piguły na stronie).* Będzie trochę płaczu.

(Sędzina odchodzi).

Dr. Piguła (do Sędziego i do Rublewicza). Finis coronat opus, podajcie sobie dłonie i uściskajcie się raz jeszcze.

(Ściskają się serdecznie, wtem wpada Sędzina).

SCENA OSTATNIA.

Sędzina (z najwyższem przerażeniem, z różowym listem w ręku). Majonez! Majonez! moje dziecko, moja Sabinka!

(Wszyscy w największem przelęknieniu obstępują dokoła).

Dr. Piguła (odbiera list i czyta głośno):

Chere Maman!

«Serce moje, jako moję wyłączną własność, od «lat trzech oddałam Pantaleonowi hrabiemu Ma«jonez. To samo serce Błażeja Rublewicza cier«pieć nie mogło. Chcieliście mnie sprzedać dla «waszych osobistych widoków, bez względu na «moje uczucia. Nagliliście, — odjeżdżam z hrabią «Majonezem, opieram się woli Waszéj na zasadzie «praw emancypacyi, któréj prawidła zaszczepiłaś, «mamo, w sercu Twéj przywiązanéj córki.

Sabina.

P. S. Ojcu i Horci moje uściśnienia. — Fruzia mnie do mojego ślubu nie odstąpi».

Sędzia (z całego gardła). Czyn kryminalny! gwałt! porwanie!

Rublewicz. Moje pieniądze!

Rublewiczowa (wrzeszczy). Mężu! nasze pieniądze!

Błażej. Nasze pieniądze!

Szaraczkowska, Kunegunda, Petronela, Urszula (wrzeszczą co głosu staje). Pieniądze! pieniądze!

Sędzia. Ścigać ich będę! Piórczyński! Józefie! Franciszku! Józefie! Koni wierzchowych! pocztowe zaprzęgi!

(Służący wnoszą salopy, płaszcze i kapelusze, nieład najwyższy).

Rublewicze szarpią Sędziego i wrzeszczą: Pieniądze! pieniądze?

(Sędzia w obłąkaniu kładzie na swoję głowę kapelusz

żony, Sędzina bierze kapelusz męski, mdleje i pada na ręce Dra Piguły. — Wszyscy otaczają sędzinę w półkole).

Sędzia (stawając w środku, nad głową zemdlonej żony). Oto są skutki emancypacyi kobiety!

Dr. Piguła. Ze stanowiska absolutnego.

(Zasłona spada).

WEKSEL

TRAGEDYA w PIĘCIU AKTACH.

Poprzedzona listem do redaktora „BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ".

Mości Redaktorze!

Bacząc, iż uwagi nad przemysłem krajowym, w jakiejkolwiek objawione barwie, zawsze są godne wiadomości publicznej, zwłaszcza u nas, gdzie popęd spekulacyjny tak rzadko spostrzegać się daje, a więc wyjaśnienia i podniety potrzebuje; wiedząc ile w. pan dobrodziej szczerze pragniesz, aby «Biblioteka warszawska», obok dążności moralno-naukowej i wpływu materyalnej korzyści dla kraju pozbawioną nie była, czego jest dowodem umieszczenie wybornego artykułu «O przemyśle» przez czcigodnego Aleksandra Kurca; rozbiorów znakomitego dzieła nader szanowanego Augusta Cieszkow-

skiego: „*Du credit et de la circulation*“; kilka trafnych spostrzeżeń, rolnictwa dotyczących, przez wielce zacnego Konstantego Wolickiego i innych;— oddawna pragnąłem i ja skreślić obraz cyrkulacyi pieniężnéj w Warszawie i w chwili, kiedym się zastanawiał, jak wiele winni jesteśmy niezmordowanym w téj mierze zabiegom pewnéj klasy ludzi, co się wypożyczaniem pieniędzy z niezrównanym trudni zapałem, co całą myśl, całe swoje jestestwo wyłącznie tylko temu celowi poświęca, — w chwili, mówię, kiedym to wielkie obywatelskie uczucie oceniał, nasunęły mi się pod rękę listy Edgara, które, odczytawszy przed wykończeniem mojéj pracy, przesyłam je w. panu dobr. do ogłoszenia w «Bibliototece warszawskiej». Nie są to oddzielne traktaty o saméj cyrkulacyi pieniężnéj, nie są to rozbiory przemyślane; wszakże obok salonowych uniesień dobrze urodzonego młodzieńca znajdziesz, panie, bezpośrednie ustępy finansowe i wiarogodne świadectwo, bo z życia rzeczywistego, o obiegu kapitałów, na które w kraju niezamożnym w gotowiznę nie powinniśmy być obojętnymi. Przenikliwy badacz znajdzie bezwątpienia w tych na pozór drobnych kolejach Edgara wątek do ściślejszych spostrzeżeń, jaką drogą przechodzi u nas część majątków prywatnych, które są zarazem i majątkiem całego kraju. Listy Edgara chrzczę tytułem:

„WEKSEL“

tragedya w pięciu aktach.

Krzykną zapewne krytycy, że tragedya, w li-

stach zawarta, jest urojeniem — z prawidłami dramatyczności żadnego związku nie mającem, zwłaszcza, że tam nikt nie umiera, nie ginie... Niechajżeż się więc panowie krytycy zbytnie nie srożą: tym tytułem chciałem tylko oznaczyć tragiczność skutków wekslowych, a że nikt śmiercią ciała nie ginie, toćże i u starożytnych Greków, od których wyraz ten pochodzi, do wyrazu tragedya nie łączyli dzisiejszego wyobrażenia, i ich tragedye kończyły się nieraz pociesznie; — ale jeżeli będą bardzo wrzeszczeć, można im pokazać i trupa, to jest trupa majątku Edgara; — zresztą z krytykami nie trudno mi będzie obłatwić się. W. p. dobr. zaś nieodmieniaj tytułu, za którym proszę; — jakoś ładnie będzie wyglądać na okładce Biblioteki warszawskiéj: «Weksel, tragedya w pięciu aktach»!...

W ogóle mój weksel uważany być winien ze stanowiska *manifestującego się na zewnątrz bez zamknięcia się* w «Ich» [1]) — w innem miejscu bardzo

[1]) Zamknij się w „Ich“, *manifestuj się na zewnątrz* wyrzekł do mnie niedawno z Berlina przybyły młodzieniaszek, który przez półrocze niespełna raz na tydzień brał lekcye *prywatne filozofii i nauki wyższego wysłowienia się*, obecnie przedmiotów bardzo poszukiwanych.

Powierzchowne zaczerpnięcie najrozmaitszych wiadomości bez doskonałego usposobienia się w którejkolwiek, jednéj, na wyraźny pożytek dla kraju służyć należnéj, — jest to tém zamknięciem się, manifestującem się na zewnątrz. Żałuję, iż nie mam syna, a chęcią zamykania się w „Ich“ zarazbym go manifestował na zewnątrz.

głębokich uwag, ale to co się nazywa *głębokich*, poczynić nie omieszkamy.

Na teraz miło mi ponowić prośbę, iżbyś się w. pan dobrodziej zapewnić raczył o mém dla jego osoby wysokiém poważaniu i niezłomnéj życzliwości.

Warszawa, 4 — 9 — 42.

LIST I.

Kazimierzu! sercu mojemu drogi! najmilszy, najukochańszy Kaziu!

Nie wiem, któremu wrażeniu mam dać pierwszeństwo: nie wiem jak uporządkować tłoczące się myśli.

Drugiego stycznia o godzinie 6-téj wieczorem, pocztowemi końmi stanąłem w stolicy; mdłe światła, o śnieżystą ulic powierzchnią odbite, nadawały murom uroczystą postawę; lud snuł się w milczeniu, karety z gorejącemi kryształy pełnym biegiem anglików, krzyżując się w rozmaitych kierunkach, i w cwał lecący rój sanek, zbudziły moję ciekawość, dokądby tak spiesznie dążyli. — W hotelu dopiéro dowiedziałem się, że przejeżdżający aktorowie francuscy pierwszy raz grają.

Ledwom rąk nie połamał z pośpiechu, kładąc je w obcisłe tużurka rękawy; — wybiegam bez kapelusza, lecz 12 stopni dokuczliwego chłodu ostrzegły mnie dość wcześnie o mojem roztargnieniu: — wracam, byłbym był i pieniędzy, a co najgłówniejsza, lornety i rękawiczek zapomniał. Już

rozważniéj wybiegam powtórnie; wystaw sobie moję radość, nietylko na francuskie trafiłem widowisko, ale na domiar szczęścia byłem jeszcze i na Sylfidzie. W sąsiedniéj loży kilku nieznanych mi młodych ludzi śmieszne a złośliwe czynili uwagi nad złym wyborem sztuki, nad niedokładnością gry francuskich gości. Jest to obmierzłe uprzedzenie za wszystkiém co *nasze,* błąd niewykorzeniony — nie rozumiem; jak można porównać teatr polski z francuskim.

Słowianofile radziby może starodawną gburowatość na scenę wprowadzić. Nie obcém ci jest moje uwielbienie dla dramatyczności, ale żądam ją mieć kwiatem dowcipnych uczuć, i to właśnie, co dzisiaj znalazłem. — Moi sąsiedzi zarzucali mniéj przyzwoite ekwiwoki, jakiemi sztuka napełniona była, — dziwny zarzut! — Nie dość, że już do znużenia piszą o filozofii, o jakiejś potrzebie wyższych pojęć — ale każą się jeszcze na teatrze czepiać swoich skrzywionych o przeznaczeniu życia ludzkiego wyobrażeń. Na przekór tym moralistom umówiliśmy się pomiędzy *nami*, iżby ciągle dawać *bravo;* — ja zaproponowałem składkę i istotnie projekt mój przyjęty został; — jeden tylko pułkownik rubasznie odrzekł, iż nie myśli sandomierskiéj sprzedawać pszenicy na podatki dla cudzoziemskich komedyantów. — *Quelle ignorance!* Ale on też bardzo źle widziany i nigdzie nie bywa — mówią, że to jest człowiek niskiego pochodzenia. —

La canaille ne pourra jamais s'approprier ces manieres qui distinguet la caste des nobles".

Sylfida *rozdrażniła mnie do szaleństwa* — sen mój tej nocy! — o nie! to nie był sen — to była chwila aniołów — o więcej niż aniołów!... Jeżeli w raju ma być rzeczywiście nagroda za trudy ziemskie, bezwątpienia jedynym widokiem — jest — musi być — balet.

Nazajutrz po mojém przyjeździe kazałem przywołać krawca i fryzyera. Stawili się niebawem. — Trzy garnitury balowe przyrzekł usłużny rzemieślnik w 24 godzinach ukończyć; — hiszpański płaszczyk, rajtrok i aksamitny paletot, dopiero za dni ośm. Fryzyer zaś, prawdziwy artysta! — zobowiązał się dwa razy na dzień, rano i wieczorem, czesać, zwijać, palić i układać moje włosy wedle najświeższej mody. Adolf, Julian, twój sąsiad jenerałowicz i trzej bracia Kurzynowscy stoją w tym samym co i ja hotelu — odwiedzili mnie. — Dano śniadanie. Jak honor kocham, Mary [1]) to prawdziwy artysta! jego majonez nie ma nic równego w świecie, tylko że jedząc na czczo majonez a potem lody, dostałem żołądkowéj *opressyi*, co mi dokuczliwie przy faraonie przeszkadzało. — O 3-ciéj z północy wszyscy, oprócz Juliana, pojechali *incognito* na przyjacielski bal — na Miodową ulicę. — Ja zaś w wiejskiéj podówczas prostocie poracho-

[1]) Restaurator i bezwątpienia najwykwintniejszy gastronom francuski w Warszawie.

wawszy 30 butelek po szampanie i pozostałą gotowiznę — tylko z 18 dukatami udałem się nie bez pomniejszego kłopotu na spoczynek. Około południa obudził mnie Andrzej, zawiadamiając, iż krawiec przyniósł suknie. — Przymierzyłem natychmiast: — jak mamę kocham, takiéj talii nie widziałeś przez życie — wszystko jakby ulał — wyglądam jak belwederski Appolo. — Najbardziéj się jednakże cieszę z rajtroka — oh Boże! ty nawet nie wiesz, co to jest rajtrok! *Imaginez*, frak niemieckiego doktora z 17-go stulecia, ale *szezy* o wiele szersze od doktorskich. Rajtroki bywają trojakie: *a la Voltaire, a l' Elephant, i a l' absurde* — ostatnie są najmodniejsze: pod szyją winny być spięte na jeden, najwięcéj na dwa ogromne guziki, — pierś zostawiasz odsłonioną, — a im daléj tém więcéj rozwarty, — dopiero poniżéj bioder szezy zbierając się ku kolanom, tworzą niejako tużurek. Cały sens w tém, że to nie jest właściwie ani frak ani tużurek. Szczupłéj budowy mały Staś *diavolico* wygląda w rajtroku — przysiągłbyś, że chodzi w pożyczanéj starszego brata sukience; ale bo téż jego jest *a l' Elephant* z guzikami naokoło, z kołnierzem węższym od zwyczajnéj białéj tasiemki, a wiesz, jak cienką i długą ma szyjkę — główkę jak melonek — zgoła u góry dziecko; — od ramion dopiéro szerzawa niezwyczajna, po kostki, trochę defiguruje, te *a la Voltaire* mają więcéj kroju i nietyle długie. Ważną jest rzeczą kolor sukna — jam kazał sobie zrobić blado-kanarkowy.

Wyjeżdżając z wizytami, upomniałem Andrzeja, abym za powrotem zastał Szymsię, faktora mojéj ciotki, który w szkołach jeszcze ratował mnie w potrzebie.

W dwóch tylko miejscach nie przyjęto mnie, bo panie robiły toaletę. Wszędzie czyniono mi zarzuty, iż nie byłem na «Sylwester-Abend», — wszyscy byli mi radzi niezwyczajnie. — Hrabina Aldona podstarzała się na dobre, ale nie wiedząc, czyli nie chcąc wiedzieć o tém, mizdrzy się po dawnemu; jéj córeczki wyrosły nieszpetnie, tylko Ifigenia *nie jest dobrze* z tą *manierą* smutku po śmierci Alfreda; — za to Kocia wygląda jak bóstwo. U prezesowéj mówiono wiele o owym wczorajszym przyjacielskim balu na Miodowéj ulicy, *podobno wielkie porobiły się awantury* [1]). — Nie chcieli wierzyć, abym o niczém nie wiedział. — Horacya zbladła, wycienkła, usta jéj zsiniały, ciągle rozmawia o nowéj filozofii, — sawantka, najkrócéj u niéj bawiłem. Jenerał z Wołynia jeszcze nie przyjechał, żona niebardzo tęskni, powrócił bowiem kuzynek z Berlina — zastałem go u niéj. Przywitaliśmy się po dawnemu — ładny chłopiec, ale mu się w głowie przewróciło. — Wystaw sobie — syna swojego ekonoma wysłać chce za granicę dlatego, że się dobrze uczy w szkołach. Jenerałowa naśmiała się z niego do woli, ja zaś twierdzę, iż

[1]) Były to bale w pałacu Paca, głośne z ohydnéj niemoralności.

to wszystko wyszumi, jak z nami kilka tygodni zabawi. Dowiedziałem się u Julianów, iż Stefcia dała koszyk naszemu poczciwemu Adasiowi — dlatego, że grywa w karty. Babska to sprawka— kasztelanowa mści się, że się z jéj córką żenić nie chciał.

W powrocie z wizyt wstąpiłem do litografii, bom u Juliana uważał, że teraz na wszystkich biletach wizytowych jest u góry umieszczony herb. Najszczęśliwszém dla mnie zdarzeniem mieli już gotowe bilety i z moim herbem; potrzeba było u dołu wytłoczyć moje imię i nazwisko — ale czy francuskiemi czy polskiemi literami — maczkiem czy wielkiem pismem — na to się *zdecydować* nie mogłem. Właściciel litografii zapewnił mnie, że maczkiem jest najmodniéj; ale jakiś obecny, pięknie ubrany jegomość rzucił z niechcenia: «Ja się zaś mojego nazwiska nie wstydzę» — i temi kilku wyrazami wbił mi klin w głowę nielada; — maczek jest modny — swoje nazwisko umieszczać nieczytelnie, takoż mi się nie zdawało — stryj szambelan mógłby mi wziąć za złe, dlatego iż on zwykł podpisywać się wielkiemi literami. — Długo się biłem z myślami — w żaden sposób nie wiedziałem, jak tę rzecz ważną rozstrzygnąć, kiedy litograf (jużto Niemcom na koncepcie nie zbywa) jak gdyby cudem jakim wpadł na ten pomysł, iżby imię wyrysować maczkiem francuskim, nazwisko zaś wielkiemi literami gotyckiemi. — Ledwiem poczciwca nie ucałował z radości, co on też musiał zmiarko-

wać, bo położył cenę nader wysoką, — tłumacząc się, że jeszcze nigdy maczku z gotykiem na jednym bilecie nie rysował, że ja pierwszy będę miał tak wyrozumowane bilety, że do téj pracy dwóch musi użyć rysowników: Francuza do maczku, Niemca do gotyku. Oni pękną z zazdrości, jak moje bilety zobaczą! maczek i gotyk! — ta słodka myśl towarzyszyła mi do hotelu. — Szymsio, pokorne żydzisko, czekał jak pies przy drzwiach, — rozpłakał się, gdy mnie zobaczył. — Dałem mu za to kilka dukatów. — Kazimierzu! co to są nasi faktorzy! obejrzał te dukaty, i nie wiedząc, com ja wczoraj robił, z uśmiechem wyrzekł: «Jaśnie wielmożny pan musiał grać w karty» — hultaj! jaki to dowcip! istotnie były bardzo oberznięte. Adolf szczególniejszą ma rachubę, że nas zawsze takiemi kulfonami opatrzy, a dobre wyłowi. — «Słuchaj no! potrzebuję pieniędzy»! — Na te moje słowa nisko się Szymsio pokłonił i wyszedł. — Za pół godziny wraca wiodąc za sobą żydka w atłasie. — Wystaw sobie, na drukowany świstek, który u dołu i z boku podpisałem, odrachował mi 800 dukatów bez najmniejszych zatargów, nie tak jak na wsi, gdzie godzinę całą potrzeba gadać i rozprawiać, zanim ci tysiąc złotych polskich na wełnę zaliczą. Wprawdzie za 800 zobowiązałem mu się 1200 zapłacić — ale też biedne żydzisko, on nie ma ani wiosek ani lasów — i procent to cały jego zarobek. — Nie pojmuję: co wy macie przeciwko żydom: uczciwi, potulni, na każde skinienie usłużni, i od owego

czasu do téj chwili, gdy to piszę, już trzeci raz ten sam atłasowy dostarczył mi pieniędzy, bo wciągnąłem się w grę. — Ale mniejsza o przegraną; — powiem ci, jak z Andzią zrobiłem znajomość; — prawda! jam ci jeszcze o Andzi ani słowa nie pisał! — Ale nie — tę całą intrygę opiszę ci później; dzisiaj jestem zanadto roztargniony. Kupiłem prosto z Wiednia sprowadzony karykiel; moje 4-ry cugowe konie, które tu zawczoraj przyszły, nie z wielkim, bo tylko ze 100 dukatów dodatkiem, zamieniłem na dwa meklemburczyki, liberyą sprawiłem *moim ludziom* nową. — Szymsio nie może nastarczyć posługom, — wczoraj najął dla Andzi piękny na ustroniu *apartament*, i do jutra obiecał mi się wystarać o bliższą wiadomość przeszłości tego dziewczęcia. — Bal u Julianów był świetny — powróciłem do domu dopiero o 7-méj rano, a już o 1-széj potrzeba spieszyć na tańczące śniadanie u hrabiny Aldony. — W tym tygodniu jeszcze mamy pięć *soirees*, dwa wielkie bale i piknik — a dzisiaj już środa; nie wiem, jak się rozedrzeć. — O jak słodko płyną tu chwile! urok, zadowolenie namiętności, rozkosz i nadzwyczajne wypadki ścigają się na przemian; całe moje jestestwo otoczone powabem czarodziejskim ułudnych wrażeń — łódka młodości umajona kwiatem szczęścia — olśniona blaskiem ponęt, pędem strzały omija krótkie godziny — raj ziemski stoi otworem, — a tylko niewiadomość prostaka, upór spleśniałych dumań starca, obojętnemi być mogą na tyle czarodziejstw,

jedynej w świecie Warszawy. — Najświetniejszy poeta, najśmielszy malarz, najwznioślejszy powieściopisarz, słaby tylko i nikczemny mogą ci dać zarys. — Kazimierzu! to się nie da wyrazić. *Kazimierzu! czuję, ach czuję, żem jest do wyższej przeznaczony sfery...* Ubolewam, żeś ty się na wsi zagrzebał. — Doniósł mi wczoraj Rzymkiewicz, że u mnie owce wypadają; jak jesteś łaskaw, zajrzyj do Błędocina i powiedz mu, niechaj mi z swojemi wołami i owcami nad głową nie piszczy: *ja się chcę bawić*, a on się uwziął z nowinami ni w pięć ni w dziewięć. — Płacę mu 1000 złp., jest komisarzem, niechajżesz się kłopocze, a mnie niechaj da święty pokój, jeśli mu u mnie służba miła.

Twoim szanownym rodzicom *mes compliments. Adieu mon cher, au plaisir de vous revoir.*

Tout a vous
Edgar.

LIST II.

Warszawa, dnia 25 lutego.

Kochany Kaziu!

Może już i pod twoję strzechę stugębna wieść doszła o awanturze, jaką miałem z Alfonsem. Piknik, o którym ci w moim liście z dnia 19-go stycznia wspomniałem, odłożony został z wielu bardzo ważnych przyczyn na 16 lutego. Było nas ośmiu gospodarzy; mnie z Alfonsem przeznaczono uczynić wybór miejsca i dekoracyą sali. Ponieważ

piknik ten miał być oddzielnie i wyłącznie złożony *d'une societe choisie*, postanowiliśmy, aby się odbył za miastem. Dwa dni jeździłem upatrując stosownego i liczbie gości odpowiedniego miejsca: — należało wybrać *une maison peu commune*. Otóż więc, niedaleko cmentarza, którego wspomnienie tyle cię rozrzewnia, jest kilka kabanek w posiadaniu Niemca, strojnych oranżeryą i małym ogródkiem. Alfons zgodził się ze mną, że to będzie *une maison peu commune;* ale gdym się różnił z nim w zdaniu co do upięcia festonów na sali a nadto, gdym się upierał, aby zamiast rzęsistych iluminacyi tylko słabe światło w kolorowych lampach girlandami uwieńczony wchód zdobiło, on, moim dobrym gustem zawstydzony, twierdził, że girlandy i kolorowe światło i moje gotyckie litery na wizytowych biletach niemieckiego pochodzenia dowodzą. Naturalnie odjechałem natychmiast; — Adolf był moim sekundantem. Wrzawa zrobiła się w mieście, — przez trzy tygodnie o niczém więcéj nie mówiono, jak o téj awanturze. — Wdały się kobiety — i rozumiem, że się to stało przez zabiegi matki Alfonsa; — prezesowa, Aldona, jenerałowa i radczyni Emma, wzięły na siebie rzecz tę załatwić. Słusznie ktoś powiedział:

Mimo płci naszéj wszystkie zalety,
My rządzim światem, a nami kobiety.

U Aldony musieliśmy sobie zgodne podać dłonie: — Alfons odwołał twierdzenie, jakobym z nie-

mieckiéj miał pochodzić familii, — jam dał słowo honoru, że wyrazem *„głupi“* obrazić go nie chciałem. — Wypadło mi więc dać dla młodzieży śniadanie. — Od jedenastéj rano do czwartéj z południa na drugi dzień, a więc przez 29 godzin, trwało moje poczęstne. Kaziu! za same ostrygi zapłaciłem 1800 złp., wina szampańskiego wyszło 400 butelek; — ile się należy w restauracyi, nie wiem; ale co tylko było najdroższego wszystkiego Francuz dostarczył. Powszechnie mówią, że takiego śniadania kawalerskiego od czasów księcia Józefa nie pamięta Warszawa.

Kiedy wspomnę, jak to nasi rodzice skąpią nam dochodów na uprzyjemnienie życia, tężeję ze złości i, gdyby nie mój Szymsio, byłbym w nielada ambarasie; — moja gotowizna ograniczała się przy zaczęciu téj awantury na stu dukatach niespełna, Szymsio w mgnieniu oka wystarał się o pieniądze; — prawda, że mnie tą razą nielitościwie procentem obłożyli, ale kiedyż mam tracić, jeżeli nie w młodości! — Zawsze Szymsio jest moim prawdziwym dobroczyńcą i o małobym nie powiedział — przyjacielem.

Panuje tu jakaś pismomania i należy do dobrego tonu umieścić w którémkolwiek piśmie peryodyczném jaki poważny artykuł. O ile to wbrew mojemu przekonaniu, o tyle wyłączyć się od téj mody nie mogę; przy pierwszéj więc chwili wolnego czasu rozpiszę się nad zasługami, nad nieodzowną potrzebą faktorów, dowiodę, że oni tylko

nadają obieg gotowiźnie, że oni... to jest, w tym rodzaju radbym coś napisać — ty mnie rozumiesz, i jeśliby ci coś podobnego przyszło na myśl, — opracuj i przyślij mi, bo ja jestem niecierpliwy do tych piśmiennych *exercycyi*. Kaziu! może masz jakie wiersze swojéj roboty, poezyą... Horacya mnie ciągle poetą nazywa, — zrobiłbyś mi wielką usługę. Proszę cię także, każ za odebraniem tego listu, aby Rzymkiewicz do ciebie przyjechał; powiedz mu że pod utratą służby rozkazuje mu, 1) aby resztę pszenicy omłócił, chociaż najemnikiem, i aby ją zaraz sprzedał — 2) drzewo niechaj najętemi furami odstawia do Wisły, bo mnie Reszel przypozwał o 1000 sosien, które mu przed trzema laty sprzedałem — 3) pieniądze za pszenicę i za skórki z owiec [1]) iżby najdaléj w 8 dniach odesłał. Opłatę podatków niechaj wstrzyma do mego powrotu.

Kaziu! tysiące dałbym za to, gdybym cię do Warszawy sprowadzić mógł; jestem bowiem w trakcie sprzedaży Błędocina a nie wiem, jak moję matkę nakłonić, aby mi dożywocie ustąpiła. Łudzę ją, że się z Horacyą ożenię — (ale! ale! wiesz żem się rozstał z Andzią — waryat dziewczyna pożyczyła u Szymsia na moje konto 200 dukatów, — zapłaciłem ale i kwita z tak drogiéj przy-

[1]) Nie masz tego złego coby na dobre nie wyszło. Owce kupią się późniéj, — Tymczasem Edgarek rad, że za skórki coś na karnawał dostanie.

jaźni) — chociaż wprawdzie nie myślę o tém, miła mi jeszcze swoboda, — ważny hymen na sędziwe lata odłożę. O gdybyś tu chociaż na trzy dni mógł przyjechać! — Należy mi koniecznie coś w moich interesach uczynić. — O wiem! wiem, jak cię zdobędę. — Oto Tadeusz — twój szkolny przyjaciel — wynalazł jakiś rękopism gminnych a po waszemu ludowych pieśni z XV stulecia. Złapałem Kazia; widzę jak wytrzyszczasz oczy,— jak pożerasz te pieśni; ja tymczasem pójdę na obiad do Francuza.

Czekam cię Kaziu! do widzenia. *Tout a vous.*

Edgar.

P. S. Jeżelibyś na tę wycieczkę do Warszawy nie miał mieć pieniędzy, wówczas spuść się na mojego Szymsia, on nas tu wszystkich ratuje. Potrzeba o tym żydku pomyślić; — sądzę, że należałoby zrobić dla niego składkę.

LIST III.

Warszawa 15 marca.

Kazimierzu!

Miliony gwiazd zawieszone w powietrzu, światła srebrnego księżyca, wspaniały bieg złotego słońca — ogrom morza, gór olbrzymich szczyty, wulkaniczne łono ziemi, najcudniejszym kobiercem zasłane łąki i pola, a wśród nich rój zwierząt i nad niemi panujący człowiek: — zaiste, to wszystko napełnia cię podziwieniem i karnością dla Stwórcy

wszechrzeczy: — ale kiedy na twojém sercu, na twojéj duszy, spocznie spojrzenie niepokalanéj, wdziękami pierwszéj młodości zdobnéj dziewicy, gdy to spojrzenie przez twoję krew do twojéj myśli dobieży, — o jakże wówczas wielką jest twoja wdzięczność dla Boga, że zesłał anioła na twoje zbawienie, że w twojéj piersi nowe zapalił życie...— Kazimierzu! ty nie znasz Klotyldy! — o! wszystko, co najszczodrzejsze przyrodzenie wypieszczoném tchnieniem kiedykolwiek światu przyniosło — to wszystko, co ci w najbogatszych marzeniach lotna wyobraźnia stworzyła, niknie przed pięknością Klotyldy, a cała jéj piękność, cała na jéj uroczéj postaci rozlana niebiańska wabność, czemżesz jest w porównaniu z jéj jednym szczęśliwiącéj Cię życzliwości uśmiechem; — a ten uśmiech czemżeż jest w porównaniu z tkliwém jéj ócz spojrzeniem? — Kazimierzu! ja tego określić, ja tego wysłowić nie jestem zdolny, — każde porównanie będzie ubliżeniem potędze[1]) Klotyldy, będzie znieważeniem wielkiego obrazu.

Poznałem ją u radczyni Emmy. — Od trzech dni ścigam ją wszędzie, naprzeciw jéj okien nają-

[1]) Przychodząc panu Edgarowi w pomoc, czyliby nie można następującéj proporcyi arytmetycznéj ułożyć: — jak się ma maleńka objętość drobnego kolibra do słonia, tak się ma potęga, która jedném skrzydłem przeszłość a drugiém przyszłość potrąca do X. — X więc byłoby potęgą spojrzenia Klotyldy.

łem pomieszkanie. Ale czyż uwierzysz, że to dało powód moim wierzycielom do najnikczemniejszego mniemania, jakobym przed niemi się chronił? — W ogólności rzecz dziwna! — motłoch ten, który biegł z pożyczką na każde moje skinienie, który się płaszczył przed mojemi stopy, dzisiaj, — chociaż jeszcze termina wypłaty nie nadeszły, — podnosi łeb do góry i śmiało zaziera mi w oczy; — jakaś karczemna poufałość rośnie jak na drożdżach, — odwiedzają mnie bez pozwolenia, rozsiadają się po krzesłach, — przepytują moich służących, czyli się nie wybieram na wieś, — a wczoraj Szymsio — na Senatorskiéj ulicy wśród dnia jasnego, z nakrytą głową zapytał mi się: «Paniczu! jak to będzie z jutrzejszym terminem?» — Bezprzykładne zuchwalstwo i śmiałość! Kazimierzu! poznaję, żem się omylił na tych lichwiarzach — oni mi dzisiaj solą w oczach; gdzie się tylko obrócę, zachodzą drogę, przypominając termina. Wyraźnie skaranie Boskie; a wszakże gdyby nie to ich natręctwo, byłbym najszczęśliwszym z ludzi. Klotylda jest mi wzajemną, ona mnie kocha... cóż, kiedy te wekslowe napaści zatruwają mi każdą chwilę. Matka moja, mimo skończonych lat 50 idzie za mąż, za byłego podporucznika od ułanów, — djabli stworzyli ułanów! — o odstąpieniu więc dożywocia i mowy już nie ma. Wiele w tej mierze mógłbym powiedzieć, ale matka od zarzutów syna wolną być winna. Kazimierzu! niepokoję się, brak pieniędzy zbyt cierpko daje się we znaki.

Z Adolfem uczyniłem rozbrat — obliczywszy się, wygrał ze mnie przeszło 40,000 i jeszczem mu 9000 dłużnym pozostał. O! gdyby nie Adolf i posługi Szymsia byłbym szczęśliwy! Nadużywam twojéj dobroci, ale uczyń to dla mnie. — Jedź do mego stryja szambelana, powiedz mu, iż to tylko jest potwarz, jakobym się rozwiozłemu i gminnemu miał oddać życiu; zapewnij go, że to jest kłamstwem (niestety! prawda zbyt wielka), jakobym w białym ogródku bal wyprawił i tamże wszystkich moim podejmował kosztem. Przeciwnie staraj go się przekonać, że bytność moja w Warszawie nie jest bez znakomitéj dla mnie korzyści w naukach, którym się z wielkim poświęcam zapałem; że za zabawami wyłącznie nie gonię, i o tyle tylko bywam na balach, o ile przyzwoitość i rozrywki wymagają, a wydatki moje są tylko godności mojego imienia odpowiedne. Wszakżeż stryj zawsze mi mawiał, abym nigdy nie zapomniał, com sławie moich przodków winien.

Największy dasz mi dowód przyjaźni, jeśli mi serce stryja powrócisz, bo list jego ostatni był zabójczym.

Drogi Kazimierzu! tęsknię do chwili, w któréj cię do serca mego przycisnę.

Twój na zawsze

Edgar.

LIST IV.

Warszawa d. 10. Kwietnia.

Kazimierzu!

Jeżeli przed Twoim domem zobaczysz stado kruków lub kawek, nie lękaj się nieszczęścia! — bajka jest, aby ptaki były posłannikami piekła; jeżeli ci zając drogę przebieży, nie wierz w zabobon, aby cię złe w podróży spotkać miało; ale jeżeli próg twojego domu przestąpi brodaty faktor, jeżeli ci się tylko na ulicy ukłoni, pożegnaj spokój i domowe szczęście; — już one nigdy u ciebie nie postoją, bo faktor, jeżeli cię nie wplątał od razu, wplącze powoli w odmęt interesów, z których za życia nie wyjdziesz.

Widziałeś ty kiedy tę lichwiarską zgrają, snującą się w zaułkach miasta?... czyliż myślisz, że oni nad handlem krajowym radzą, że zasięgają pomiędzy sobą wiadomości, jak najkorzystniej produkta ziemi naszej za granicą spieniężyć, w jaki sposób bogactwo narodowe powiększyć?... jeżeli tak sądzisz, w najgrubszym jesteś błędzie. — Są i u nas handlujący, którzy prawdziwie kupiecką pracą i pilnością, szlachetnym przemysłem, znamienitemi spekulacyjami najszczęśliwszy wpływ na kraj nasz wywierają, — ale to nie są ci faktorzy-lichwiarze, o których mówić zacząłem. Na imię kupców i bankierów zasługujący, w całém prowa-

dzeniu się, we wszystkich obyczajach od téj obmierzłéj gawiedzi odmienni, powierzchownie i moralnie ukształceni, — nie zastępują ci drogi na ulicy, nie zachodzą ci domu z projektami szachrajstw, nie wdają się w pożyczki wekslowe po 3, 5 do 20 od sta na miesiąc; — oni, jak już poprzednio powiedziałem, porządkiem, pilnością kupiecką, wyższym, rozległym, spekulacyjnym przemysłem, przyczyniają się do rzeczywistego handlu, — jednają dla naszych papierów publicznych wiarę i pokup, są duszą ożywiającą sprzedaż naszych produktów za granicą, nierzadko dźwignią pożytecznych zakładów i fabryk, są dobrodziejstwem dla kraju. Przeciwnie zaś podli lichwiarze — oni od rana do późna w noc myślą i radzą nad tém, jakby bogatych rodzin synów do zaciągania długów sprowadzić, jak żądzę marnotrawców podsycać, jak lichwą przepołowić dochody liczną familią obarczonego urzędnika, jak z każdego nieszczęścia korzystać, jak ubogiego, pracowitego rzemieślnika nawet zaprządz do swego jarzma procentów, — a jeżeli jest w lepszém położeniu, jak go do zaręczeń, do solidarnych wciągnąć podpisów; — i o ile na wsi nasz poczciwy chłopek część krwawo zapracowanego chleba przebiegłości propinatorów w haraczu składa, o tyle miast i miasteczek lichwiarze żywią się pracą rzemieślnika.

Nie istnieją u nas, jak w Berlinie i innych niemieckich miastach, składki cechów w znaczne zamienione kapitały, któreby w ciężkiej przygo-

dzie, w razie nagłej potrzeby, albo też na przedsięwzięcia zarobkowe w pomoc rękodzielnikowi przyszły; — u nas w każdém z podobnych zdarzeń lichwiarz pieniędzy dostarcza i czyni przez to nieszczęśliwego albo swoim parobkiem na lat wiele, pod jego rozkazami pracującym, albo za nieopłaconą lichwę, bo kapitał fantami zwykł był ubezpieczyć, wsadza do więzienia dłużników, jak tego nierzadko znajdziesz w Warszawie przykłady.

Kazimierzu! młody i niedoświadczony, pragnący w zbytkach zrównać bogatszym odemnie, łatwą możnością zaciągania długów uzuchwalony, nieprzewidujący skutków i następstw gier hazardowych, przez tegoż szatana lichwiarza 17 podpisałem weksli. Karaimy byliby jeszcze więcéj dostarczyli, ale dowiedziawszy się, że matka moja nietylko dożywocia ustąpić mi nie chce, ale nadto w powtórne śluby małżeńskie wchodzi, że stryj mój szambelan mojemu młodszemu bratu a nie mnie cały swój majątek podobno zapisał — zadrżeli o rychły odbiór 62,000 zł. rzeczywiście mi danego kapitału, — zwątpili o zrealizowaniu lichwy, która z ciągłych porachunków do 58,000 urosła; w ogóle mając odemnie 120,000 do żądania, czynią naradę, w jaki sposób sumę tę zabezpieczyć. Od czterech tygodni nalegali mnie, abym się żenił, obiecując jeszcze pożyczyć pieniędzy na konkurencyją; — wynaleźli mi do wyboru 3 posażne panny; — Ale że dwie z nich brzydkie a trzecia starsza o lat 10 odemnie, głównie zaś, że moja

miłość bez granic do Klotyldy oburza się na podobne projekta, pomimo, iż uporczywie byłem naglony, na handel ten przystać nie chciałem. Zrobili więc inny zakrój: Szymsio, który każde moje ruszenie, każdy mój pomysł równo zemną, a często odemnie lepiéj znał i wiedział, w czasie najgwałtowniejszéj potrzeby obiecuje wystarać się o 200 dukatów, jeżeli uczynię z wierzyciclami obrachunek i jeżeli dopiszę pewien układ. Ten mniemany układ zasadzał się na tém, abym wszystkie weksle *suche* zamienił na jeden *ciągniony* czyli trassowany, iżbym dozwolił zaskarżyć się, a raczéj, iżbym zaoczny wyrok dopuścił, a gdy komornik nakaz przyśle, abym wyrok zaakceptował; — poczém miałem dostać 200 dukatów nowéj pożyczki i prolongacyą wszystkich wypłat na rok jeden. Stało się, jak żądali. — Ale kiedy po zaakceptowaniu owego nieszczęsnego wyroku trybunału handlowego zażądałem owych 200 dukatów i prolongacyi na piśmie aż do przyszłego roku, Szymsio zasłabł, nie pokazał się u mnie, a gdym mu w jego własném pomieszkaniu gorzkie o zdradę czynił zarzuty, obiecał, że na 6 kwietnia wszystko ukończy. Jakoż stawił się 6-go kwietnia o 8-méj rano. Prolongacyi na piśmie nie przyniósł, zaręczając, że ją jutro przyniesie. — Co do 200 dukatów, wierzyciel, któremu cały dług mój przez spólników był ustąpiony i który uzyskał na mnie wyrok przezemnie zaakceptowany pod przymusem osobistym, odsyłał mnie po tę nową pożyczkę do szwagra swojego

zięcia, któremu wyjednać miałem przez moje wpływy odbiór jakiejś kaucyi, za niedopełnienie tylko lekkiéj formy zatrzymanéj.

W blado-kanarkowym rajtroku i w mych ulubionych pantalionach w czerwoną kratkę wychodzę na ulicę w myśli, że idziemy za podniesieniem owéj kaucyi. Po drodze umawia się Szymsio ze mną o faktorne, żąda, abym mu 15 zł. za dorożki zwrócił, — chociaż jak żyw nigdy za memi interesami dorożką nie jeździł, bom zawsze widział przez okno, jak piechotą lichwiarzy sprowadzał; — i wśród takiéj gawędki dochodzimy do pałacu Branickich, gdy wtém Szymsio, jakoby tambourmajor, laskę prostopadle w górę podnosi i na dół ją spuszcza. Jeszczebym się po tych znakach nie domyślił, o co rzecz idzie, ale kiedy widząc, że z przeciwległego domu ten sam komornik, któremu do protokółu zawczoraj wyrok trybunału handlowego zaakceptowałem, na czele dwóch sieraczkowych waszeciów ku mnie wprost biegnie, — nie długo się namyślając, w nogi napowrót. Szymsio, kądel, w najwyższém zuchwalstwie uchwycił mnie za połę od rajtroka; szczęściem sukno nie wytrzymało siły odciągającéj, lichwiarz z połą w ręku upadł w błoto, nadbiegający komornik przewalił się przez niego i tylko panowie asystenci, młode chłopaczki, puścili się za mną w pogoń. Kaziu! nigdym się do mety nie ścigał; tą razą pierwszy raz przekonałem się, że mam cudowny charakter w nogach: — o 20 kroków pierwéj wpadłem do

mojego pomieszkania. Wiadomo ci zapewne, że w domu bez obecności sędziego pokoju aresztować nie mogą; zanim zaś zrobili podanie do sędziego pokoju, zanim sędzia rozpoznał prawność żądania komornika, już przez ogrodową furtkę wymknąłem się na Warecką ulicę, ztamtąd około Dzieciątka Jezus dostałem się na Mazowiecką, gdzie napotkawszy dorożkę, ruszyłem za rogatki. W Kaskadzie pod Marymontem siedziałem do zachodu słońca, a po 6-téj dopiero wróciłem do miasta. Nazajutrz niedziela, a więc od napaści wolen, udałem się do mojego mecenasa po radę. Oświadczył, że gdybym nie był akceptował wyroku tylko opozycyą zadyktował, byłby z łatwością zniósł przymus osobisty, ponieważ nie jestem handlującym, a trassowanie na mocy paragrafu o supozycyą miejsca, z którego weksel miał być ciągniony, byłoby się także unieważniło, — cóż, kiedy wszystko za późno! — Pytałem się czyli więc lichwiarze mogą rzeczywistą myśl prawodawcy obieżyć? — odpowiedział: nie masz ratunku.

Trzeci już tydzień słońce jest dla mnie srogim nieprzyjacielem. Strzegę się na ulicy, a w pomieszkaniu moich przyjaciół zawsze ktoś na straży, aby mnie obecnością sędziego pokoju zbrojni nie zdybali. Szymsio, obwieś, pisał do mnie przez Alfonsa list, że jeżeli Kurzynowscy solidarnie za mnie poręczą, rzeczywiście prolongacyą na rok jeden uzyskać mogę. Kurzynowscy bezczelnie odmówili, tłumacząc się, że oni także na swoje

potrzeby już trzy weksle podpisali i więcéj się szargać nie mogą. Czekam na odpowiedź od stryja. Rzymkiewicz tylko 800 zł. przywiózł; — o twojém sercu przekonany jestem, ale cóż, kiedy pieniądze nigdy w parze z dobrém sercem nie chodzą, — tak wielkiéj sumy ani poręczyć ani zapłacić nie jesteś w stanie. — Ojciec Klotyldy dowiedział się zapewne o méj przygodzie, bo wczoraj z ponurym uśmiechem zagadł mnie u Juliana, czyli to prawda, żem miał do Kozienic na radę familijną wyjeżdżać. — Przestrzeżono mnie, że wierzyciel stara się u prezesa o pozwolenie aresztowania mnie w dni świąteczne, bo się bardzo oburzył, gdym mu w niedzielę na Krakowskiém Przedmieściu «dzień dobry» pod nos powiedział, aż mu zęby zaszczękały. Jeszcze Szymsiowi muszę podobnie na jego list odpowiedzieć. — Obiecywał Andrzejowi 100 zł., jeżeli mu doniesie, gdzie ja się ukrywam. Pamiętasz, jam ci pisał, że trzeba o Szymsiu pomyśleć, że dla niego zrobię składkę. Wiesz, jak my się sobie poprzyznawali, to nas trzynastu na te trassowane weksle załowił; tylko, że żaden prócz mnie wyroku nie zaakceptował. Przy pierwszéj sposobności przyszlij mi dwa tomy ekonomii politycznéj, leżą na komodzie przy oknie w sypialnym pokoju; — nudzi mi się cały dzień rozmyślać nad marnościami tego świata, a Erazm, w którego pomieszkaniu się chronię, rzadko w domu siedzi, do mnie golca nikt też nie zajrzy, zacznę więc czytać. Bóg wié może mi ta awantura jeszcze

na dobre wyjdzie; przynajmniéj będzie dla drugich przestrogą, dla mnie zawsze nauką, wprawdzie zbyt późno, ale też nie darmo przysłowie: «Mądry Polak po szkodzie».

Czule Cię kochający

Edgar.

LIST V.

Warszawa, 17 maja.

Kiedy ty świeżém i wolném oddychasz powietrzem, kiedy młodzieńcze oko zapuszczasz w przestronny widnokrąg, śledząc przyrodę w jéj wiosennem życiu, a myśl wsi spokojnéj skromnym biegiem szlachetnych czynów ozdabiasz i w czystości swych uczuć rękojmią twojej przyszłości znajdujesz, — ja w murach więzienia za długi ciężkiemi zgryzotami trawiony, każdy krok lekkomyślności bolesną zwołuję pamięcią. — Po napisaniu ostatniego listu do ciebie ciągle się miałem na ostrożności; — to wszystko, co przezorność radziła, wypełniałem najściślej; nigdy przed zachodem słońca i na krok jeden nie wynurzyłem się z kryjówki, nigdy dwóch dni w jednem nie zostawałem miejscu; w święta nawet też same zachowałem przepisy i wtenczas, kiedy tylko u Antipodów świtać a u nas dobrze zmierzchać się poczęło, wychodziłem na miasto. W domu rodziców Klotyldy z niewysłowionym żalem bywać

przestałem, gdyż więcej niż niechętnym widywali mnie okiem; jak tylko bowiem rozeszła się pogłoska, że *Zachód słońca* odgrywam[1]), stryjenki, babki, ciotki, przyjaciółki, niedawno nawet Klotyldzie znajome panie, tuzinami jak opętane biegły z ostrzeżeniem, żem bankrut, gracz, rozpustnik; — mniemani przyjaciele, których przesyciłem ostrygami, których w szampanie kąpałem, którzy mnie tak często w karty zgrywali, przed rodzicami Klotyldy głosili długi moje w dwójnasób. — Szczupłe szczerych przyjaciół pozostałe grono, rzeczywiście zaś tylko Staś i Erazm nie opuszczali mnie w mém przykrém położeniu; z nimi to starałem się smutną rozpędzić troskę, skołatany rozerwać umysł i tęskne ożywić serce. Wszakżeż milczenie mojego stryja, do którego czwarty list bezskutecznie wyprawiłem był, wielce mnie trapiło. Nie wiem, jak długoby jeszcze trwała niepewność mojego losu, gdyby nie szczególniejszy wypadek, który w następstwie ostateczność i rozwiązanie tragedyi sprowadził. Pamiętasz, iż trudno mi jest literę ł wymawiać; — przed tygodniem umywając się rano, wołam na służącego: «mydwa,» chcąc przez to wyrazić, iżby mi mydła podał. Spojrzał się na mnie głupiec i z uśmiechem odpowiedział: «tak, jaśnie panie, my—dwa, jaśnie pan i ja, biedni jesteśmy».

---

[1]) Tytuł komedyi ulubionéj, w któréj artysta Żółkowski grą mistrzowską ściąga zawsze widzów.

— Ale ja, ośle, mówię *mydwa* — krzyknąłem ze złością w przekonaniu, że się tylko z mojéj wymowy urąga, a zarazem, że się ośmiela tworzyć niedorzeczny ekwikok do mego położenia zastosowany.

— A ja też mówię, że my dwaj — jaśnie pan i ja, — odrzekł powtórnie. Był to służący Erazma. — Ja pewien, że sobie fagas żarty ze mnie stroi, palnąłem go z całéj siły za ucho.

Nie wiedząc, za co tak mocny raz odebrał, i wychodząc z téj zasady, że u mnie nie służy, że go nikt w życiu nie uderzył jeszcze, począł się straszliwie ze mną kłócić; w końcu uczyniwszy odgróżkę, że mi tego nie zapomni, umilkł i wyszedł. — Nazajutrz uwierzywszy, że nie on ale mój język nieporozumienia przyczyną, chciałem mu owo pokrzywdzenie nagrodzić, dając dwuzłotówkę. Jaś, chwat chłopak, ukłonił się ale nie przyjął, mówiąc pod nosem, że tego rodzaju krzywdy pieniędzmi wynagrodzić nie można. Pomyślałem, «weźmiesz ją później» i wkrótce zapomniałem o tak mało znacznem zdarzeniu; ale łotr nie zapomniał zemścić się srodze. O piątéj z południa zdrzymałem się na sofie; senne marzenie miły zwabiły obraz: byłem na balu, urocza Klotylda z opartą na mojem ramieniu rączką galopadę ze mną tańczy; — modre, zdobne długą rzęsą oczy, spuściła w wdzięcznem zawstydzeniu, ja jéj w drobne uszka przysięgę wiecznej miłości przesyłam, zdaje mi się, że czuję lekkie ręki ściśnienie. — Oh! ona mi wza-

jemną!... ściśnienie coraz silniejsze!... gwałtowne!— Budzę się, Jaś stoi przedemną, oświadczając, że pan jego czeka na mnie w sąsiedniej restauracyi z bardzo wielu młodymi panami. «Zobacz pierwéj, czyli przed naszą kamienicą...» «Patrzałem, nie masz nikogo, jaśnie panie.» — Pospieszam więc w zupełnéj ufności; aleści ledwom próg domu przestąpił, jakoby kot na zdobycz czychający, skoczył komornik, Szymsio i ci dwaj ichmoście, co mnie to już w zeszłym miesiącu wyprobowali. Możebym był jeszcze mógł śmiałym odwrotem uniknąć straszliwego końca, ale w tę chwilę mściwy zdrajca, Jaś Mydwa — drzwi sienne zatrzasnął. Nie podobna mi było czynić oporu, ludzie przypatrywać się zaczęli, — prosiłem więc tylko komornika, aby przyzwoitość zachował. Udając więc obojętną rozmowę, wsiedliśmy do dwóch dorożek, ja z komornikiem do jednéj, tamci do drugiéj. Na Lesznie, wprost Karmelitów zatrzymały się pojazdy. Przy wysiadaniu wypadł mi z kieszeni bilet wizytowy maczkiem i gotykiem pisany; — podnosząc go, wyrzekł komornik: «Przyjmą pana z pewnością, ten bilet jest zbytecznym». — Zgadł, rozwarto ciemne podwoje; gościnny inspektor nie czynił żadnych trudności, a spisaniu przez komornika aktu osądzenia, po wpisaniu w wielką księgę kontroli mojego imienia i nazwiska, wskazał najuprzejmiéj bezpłatny pokój z jednem łóżkiem, z jednem starem krzesłem i z jednym sosnowym stolikiem. Tutaj przez 6 dni oddany najsroższej

rozpamiętywania męczarni, gorąco Boga o cierpliwość w nieszczęściu prosiłem, — a moje niegdyś twierdzenie, że tylko w Warszawie na wielkim świecie młodzieniec dobrze urodzony wartość życia pojąć i ocenić jest zdolen, — obecnie gorzko zaprzeczoném, lub biorąc drugostronnie, udowodnioném zostało. Nadto, złe nigdy samo nie przyjdzie ale zawsze w licznym towarzystwie: niedość moich zbyt cierpkich udręczeń moralnych, — niedość, że wolności pozbawiony zostałem, potrzeba jeszcze, aby moje nieszczęście dało ludziom powód do chęci rozrządzania moją osobą w sposób daleko okropniejszy. Siódmego dnia moich rekolekcyi, w poniedziałek, usiadłem przy oknie, patrzę się na budowę przeciwległej wieży kościoła X.X. Karmelitów, muzyka z kotłami zapowiadająca odpust, rozpoczęła melancholiczną symfonią; — dumam o Klotyldzie, ażaliż się nie stanie moją opiekuńczą gwiazdą, coby mnie z pośród ciemności przesądów, wad i zaślepienia na drogę rozsądku zawiodła, coby mi rzeczywistą powinność, pracę, pomyślność włościan, pozyskanie niezależności, za cel i dążenie wskazała, — gdy wtém ukazał się we drzwiach p. Gayer, niegdyś naddzierżawca sąsiednich mi dóbr rządowych. — Nie mogłem pojąć, co sprowadza tak bardzo bogatego człowieka do więzienia za długi. Proszę siedzieć, sam zająłem miejsce na łóżku; i oświadczywszy szczerą wdzięczność za niespodziewane a tém łaskawsze odwiedziny, pytam się zwolna, ktoby mu o mojem pomieszkaniu

na Lesznie powiedział i jakiéj okoliczności mam zawdzięczać zaszczyt, który mi czyni. Pan Gayer uderzył palcami w tabakierkę, rzucił na mnie wiele znaczącém spojrzeniem, dumał chwilkę jakoby myśląc, od czego zacząć, i wreszcie w następne odezwał się słowa: «Mój panie Edgarze! znam ja Błędocin, wiem, że w 4-ro polowém gospodarstwie można wysiać do 500 korcy oziminy; bór wprawdzie wychlastany, ale zato gleba pszenna i łąki na całą okolicę najpiękniejsze, i przy dobrem gospodarstwie można mieć z Błędocina 40,000 złp. rocznego dochodu. Matka pańska jest w posiadaniu dożywocia, ale dając jéj 100,000 złp. gotowizną, ustąpiłaby natychmiast. Szymsio, faktor pański, targując u mnie okowitą, odsłonił mi wczoraj, jakiemu pan uległeś przypadkowi. Zaiste, trwonienie majątku jest błędem wielkim i podobno większym, aniżeli młodzi ludzie przyznać mogą, ale taka to kolej źle prowadzonych dzieci. Pan smutném nauczony doświadczeniem, możesz się jeszcze z téj choroby uleczyć, a ja wiem doktora dla pana Edgara».

— Nie rozumiem pana dobrodzieja, racz się jaśniéj wytłómaczyć.

— «Oto jestem w intencyi zapłacić weksle pańskie».

Obstupui! — jaw czy sen?! wielkie szczęście że mi żyły w oczach nie popękały, tak je mocno otworzyłem; przecieram, macam się po czole, — istotnie nie wiedziałem, co się ze mną dzieje.

— «Od pana Edgara zależy tylko — przyjąć moję przyjaźń lub ją odrzucić».

Chwytam się za palce, za nos, za włosy, zerwałem się z łóżka, biegnę do pieca, napowrót, czuję, żem na jawie. Niewiele więc myśląc, jak zacznę mojego Gayera ściskać, całować, — ledwo, ledwo żem go nie udusił; spłakaliśmy się obydwaj. Lecz jakżesz krótką była moja radość, gdy Gayer odetchnąwszy trochę wyraził się jaśniej, że prócz spłacenia dożywocia matki, weksli i wszystkich długów moich (które mu Szymsio sumiennie obrachował) doda jeszcze 100,000 złp. do uzupełnienia 70,000 talarów, wiana jego córki Elizy. — Gdyby piorun we mnie uderzył, nie takbym się jeszcze był wyląkł, jak się wyląkłem tego zakończenia. Kazimierzu! drogi ukochany przyjacielu! już 48 godzin minęło od Gayera bytności u mnie, a jeszcze febra przestrachu mnie trzęsie. Kaziu! tyś nigdy nie widział panny Elizy Fryderyki Karoliny Emilii Gayer. — Najmniejszą jéj szpetnością jest potężna i śpiczasta na plecach wypukłość; — w potocznéj, w powszechnéj mowie, utartym wyrazem nazywają to garbem... Gdym ją w zeszłym roku pierwszy raz ujrzał, o mało nie krzyknąłem: «ogień! gore»! tak bardzo czerwone ma włosy. Chuda jak szkielet, wysoka jak żóraw, do tego sepleni, zająka się, — i lubo ukradkiem ale często zażywa tabaczkę; gra na angielskiéj gitarze i śpiewa tak przenikliwym *Soprano,* że wszystkie myszy o ćwierć

mili w około swoim wynoszą się kosztem. Jest spazmatyczną; tańczyć lubi na zabój; i od 3 lat pisze romans o rozbójnikach, a przy téj pracy jéj nos zatabaczony rozczula się bardzo często. Łatwo, więc zgadniesz, że, o ile bym z całéj duszy pragnął widzieć długi moje zapłaconemi, o tyle nie czułem się godny dwa skarby pana Gayera na raz odzierżyć: jego worek i jeko Elizę. Namawiałem go przeto, aby w sędziwym wieku nie ogołacał się zupełnie, aby córunię zatrzymał przy sobie, a mnie iżby pożyczył pieniędzy z procentem po 8 od sta; — lecz nie chciał przystać na to. Wielce więc obadwaj pomięszani, rozstaliśmy się bez wzajemnego zadowolenia. Całą noc spać nie mogłem, bo widmo Elizy, jakoby duch mściciel, snuło się bez przerwy przed memi oczyma, i dopiero nad ranem obraz anioła Klotyldy mile znużone skleił powieki.

Wczoraj przybył nakoniec oczekiwany i upragniony przezemnie stryj szambelan. Długą była rozprawa pomiędzy nami, to jest, on przez dwie godzin łajał, co się w moje uszy zmieściło, jam słuchał jak baranek.

Dzisiaj układa się z wierzycielami, aby wypłatę na 3 lata rozłożyć; nie wiem, czyli się szczęśliwie zakończy, gdyż oni żądają, aby stryj pod rygorem prawa wekslowego zaręczył, czego się bardzo wzbrania, dając jedynie hipotekę na Rozmysłach i Hawłodnie. Stryjenka z babunią i z ciociami złożyły sesyą, abym się żenił z jéj siostrze-

nicą, panną Pulcheryą. Panna Pulcherya nie posiada wszystkich wdzięków, jakiemi panna Eliza od hojnéj czyli rozrzutnéj przyrody wyposażoną obficie została, — ale w swoim rodzaju ma także arcy-szczególne zalety. Mój bekas gdy na tylnych stanie łapach, o cal przynajmniéj jest wyższy od panny Pulcheryi: niska jak karzeł; otyła nad wszelką miarę; śmieje się bez najmniejszego przestanku; liczy nie mniéj nie więcéj tylko 40-tą wiosnę; prócz Złotego Ołtarzyka żadnéj innéj nie czytała książki; ubiera się podług własnego gustu; np. na imieniny stryja wystąpiła w pomidorowéj sukni z szafranowym na głowie zawojem, w błękitnych trzewikach, — nie mówię trzewiczkach, bobym się najbezczelniéj z prawdą pominął; — w stosunku do nóżki jest rąsia; ząbki wyraziste i oczki takoż niepośledniéj wielkości, tylko nos, rzeczywiście maleńki, w kształcie okrągłego ziemniaczka, który przy najlżejszém poruszeniu i przy najmniejszém zamyśleniu starczyłby na odpędzenie nietylko plew, ale i ciężkiéj ze zboża kostrzewy. — Gdyby mnie karzący Jehowa do tak lubéj połowicy przykuł na doczesną pielgrzymkę mojego żywota, nigdybym się w stodołach o wiatr nie troszczył, bo należałoby tylko jejmość małżonkę na progu postawić, a mój karbowy oddałby na sypanie najczyściejsze ziarno. Niechaj mnie oni wyswobodzą a będę już wiedział, jak się od dobrotliwości stryjenki uwolnić; tymczasem pozornie na wszystko przystaję. Kazimierzu! oto są

następstwa szalonéj młodości; — żydy, baby, stare panny, kutwy, nudni moraliści, podają mnie sobie z rąk do rąk, jakby jaką zdawkową monetę, do któréj każdy właściciel kilku talarów sądzi mieć najłatwiejsze prawo. — Słucham jeszcze, rychło mnie za nieposłuszeństwo rozgniewany stryj do klasztoru wsadzi. Niechaj się dzieje wola Boża, przecież to jakoś być musi; ale że się Klotyldy nie zrzeknę, to jest matematycznym pewnikiem; w ostateczności raczéj do ostatecznego sądu Bożego na Lesznie pozostanę, niżbym miał Elizie lub Pulcheryi dozgonną zaprzysięgać miłość. Mogłem się w liczbowaniu tysięcy pomylić, ale nie pomylę się w wyborze mojego serca, bo sercem raz się tylko w życiu rozrządza.

Twój szczerze przywiązany i stale cię kochający

Edgar.

Autor 7 trassowanych weksli.

P. S. Dla płci pięknéj, troskliwéj o los młodzieńca, donoszę, że pan Edgar z więzienia za długi dobroczynném pośrednictwem stryja uwolniony został, i ecz się jeszcze nie ożenił; — jest do wzięcia; ładny i dobry chłopiec, ale goły jak *turecki święty*. (Klotylda poszła za mąż).

KONIEC TOMU DRUGIEGO.